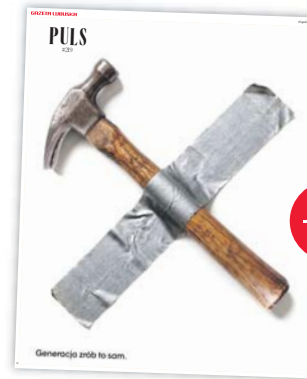


MAGAZYN *razem z dodatkami*

Pokolenie X. Twardziele, którzy najwięcej pracują i napędzają gospodarkę świata

● Prof. Ryszard Tadeusiewicz: Nie boję się buntu maszyn ● Mietek Szczesniak o karmieniu duszy

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami seriali i propozycji filmowych



GAZETA LUBUSKA

Piątek,
5.06.2026

www.gazetalubuska.pl

Nr 128 (22.729)
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)



Współwzespół

Właściciele 91 mieszkań przez kilka lat nie mogli odebrać kluczy, bo deweloper nie był w stanie zamknąć inwestycji. Nie poddali się, walczyli, działali i sami dokonczyli budowę. Jest happy end. Dziś mogą płakać, ale na szczęście już tylko z radości **str. 10**

Nr ISSN 0137-9518

Nr indeksu 350-222



Optymistki z Gorzowa świętują dziesięciolecie zespołu **str. 7**

Dobre czasy w przychodni Polskiej Wehny **str. 8-9**

30 tys. kary za zakłócanie spokoju biciem w dzwony **str. 18**

Co czeka piłkarzy Lechii Zielona Góra w drugiej lidze? **str. 30-31**

TYDZIEŃ Z GAZETĄ LUBUSKĄ

JUTRO
● przy **SOBOCIE**
tłumaczy, radzi, bawi...**PONIEDZIAŁEK**
● **DODATEK SPORTOWY**
Wyniki, tabele i analizy**WTOREK**
● **PULS BIZNESU**
Przepisy prawne, opinie**ŚRODA**
● **MAGAZYN ZDROWIE**
Jak zadbać o siebie i bliskich**CZWARTEK**
● **POD PARAGRAFEM**
Historie kryminalne**PIĄTEK**
● **PULS POLSKI**
Reportaże i publicystyka**ZAMÓW PRENUMERATĘ:** tel. 68 381 70 52, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata@gazetalubuska.pl

Janusz Michalczyk

PO CO PAPIEŻ
DAŁ ENCYKLIKE?

Leon XIV podszedł do tematu sztucznej inteligencji bardziej jak matematyk, którym jest z wykształcenia, niż mógłby to uczynić teolog skupiony na relacji między człowiekiem i Bogiem. Taki wniosek nasuwa mi się po wysłuchaniu kilku komentarzy do najnowszej encykliki „Magnifica Humanitas” (wspaniałe człowieczeństwo), przy czym od razu uprzedzam, że chodzi o życiowe w zasadzie opinie katolickich, polskich myślicieli i publicystów.

Zauważają oni zgodnie, że papież wykorzystał ocenę zmian technologicznych do przypomnienia całej nauki społecznej Kościoła, dlatego pojawiły się tu wątki tak nieoczywiste, jak niewolnictwo, wojna sprawiedliwa, migracje czy ruch związkowy, przy czym potraktowane dość zdawkowo, co może tworzyć wrażenie, że encyklika jest po trochu o wszystkich sprawach tego świata.

W zasadzie wszyscy komplementują Leona XIV za wyczerpującą analizę zagrożeń związanych z gwałtownym rozwojem AI, choć niektórzy uczciwie przyznają, że papież nie mówi nic, czego by nie powiedzieli przed nim wnikliwi eksperci (opinia karmelity Marcina Wojnickiego), a do krytykowania zarozumiałych miliarderów finansujących algorytmy lepiej przygotowaniu są lewicowi analitycy (opinia Jana Maciejewskiego).

Daje się też odczuć lekki zawód, że w encyklice jest tyle teologii, co kot napłakał. W dokumencie przywołano biblijny obraz stawiania wieży Babel oraz Nehemiasza prowadzącego wspólną odbudowę zburzonych murów Jerozolimy, pojawia się Chrystus i na sam koniec Maryja. Resztę można interpretować jako logiczny i precyzyjny wywód, z którego uniwersalną wymową chętnie zgodzi się nawet ateista o humanistycznym zacięciu.

Encyklika „Rerum novarum” (nowe rzeczy) Leona XIII krytycznie opisywała w 1891 r. żarłoczny kapitalizm, zaś „Magnifica Humanitas” Leona XIV przestrzega w 2026 r. przed utopijnymi wizjami cyfrowej rzeczywistości. Jak jednak zauważył Paweł Chmielewski, nauka społeczna Kościoła nie ma żadnego wpływu na toczące się procesy cywilizacyjne. Od siebie dodam, że przestrogi papieża kojarzą mi się z nieustannymi modlitwami o pokój, których skuteczność każdy może ocenić włączając telewizor czy internet. Wspaniałe człowieczeństwo to wzniosła idea, lecz w ludzkiej duszy nieustannie panoszy się mrok.

”

Po raz pierwszy w historii po stronie rosyjskiej więcej jest zabitych niż rannych. Ukraińcy nie tylko walczą dzielnie, ale walczą skutecznie.

Marco Rubio, sekretarz stanu USA

3,5-letnia Michalinka dzielnie walczy z chorobą. Można pomóc

Mateusz Pojnar
mpojnar@gazetalubuska.pl

Michalinka z Nowego Miasteczka toczy nieustanną walkę o powrót do zdrowia. - Każdy podkreśla, że jest bardzo silną dziewczynką - mówi jej mama, Justyna Kienda. Koszty leczenia są duże, dlatego zorganizowano zbiórka pieniędzy. Każdy może pomóc.

Pierwsze niepokojące objawy pojawiły się pod koniec września ub. roku. Michalinka zaczęła wymiotować. Lekarz powiedział, że to może być jelitówka.

- Ale na początku października wyładowaliśmy w szpitalu w Nowej Soli - wspomina mama dziewczynki. Po tygodniu od wyjścia ze szpitala córka zaczęła się skarżyć, że boli ją szyja i główka. Traciła równowagę, głowa stale przechylała się na prawą stronę. Czasem bawiła się normalnie, tak jakby zapomniała o bólu. Ale były momenty, że kładła się, nie chciała się bawić ani rozmawiać i większość czasu przesypiała.

27 października dziewczynka nie miała siły, by utrzymać się na nogach i nie mogła ruszyć głową. Ponownie trafiła do szpitala. 31 października została przeprowadzona tomografia komputerowa.

- Lekarz powiedział, że nasza córka ma guza mózgu wielkości 3 cm i potrzebna jest pilna operacja - opowiada pani Justyna.



FOT. MATEUSZ POJNAR

Pierwsza reakcja to był szok, nie docierało do mnie, co przed chwilą usłyszałam.

Nie mogła mówić

Dziewczynka przeszła później skomplikowaną operację usunięcia złośliwego guza w Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Był 3 listopada.

- Trwała 6,5 godz. - wspomina mama trzylatki. - Po operacji, gdy córka leżała na oddziale intensywnej terapii, jeszcze do nas mówiła. Była na lekach, ale potrafiła powiedzieć „o, mamusi, już jesteś, gdzie tak długo byłeś?”. Spytała, czy mam jej ulubioną maskotkę, kotka Filusia. Zażartowała, żeby tata poszedł już spać do hotelu i że przyjdzie do nas rano.

Dwa dni później przestała mówić - rozwinął się u niej ze-

spół tylnojamowy, czyli jedno z najcięższych powikłań po operacjach nowotworów mózgu u dzieci. Zaczęła się intensywna rehabilitacja i kolejna walka. Naszczęście mowa wróciła, choć dopiero kilka dni przed Bożym Narodzeniem.

- Miała cztery cykle chemii - mówi pani Justyna. - W międzyczasie pojawiły powikłania, było potrzebne przetaczanie krwi. - 22 grudnia nadeszła gorączka i trafiliśmy do szpitala w Nowej Soli - wspomina mama dziewczynki. - Byliśmy w nim do 4 stycznia, a 5 pojechaliliśmy do Warszawy na kolejną chemię.

Pod koniec lutego zaczęła się radioterapia - dziecko przeszło 30 naświetleń.

- Zniosła to naprawdę dobrze - podkreśla mama. - Każdy

mówi, że jest bardzo silną dziewczynką i niesamowicie walczy.

W maju Michalinka miała kilka kolejnych chemii. Przed trzylatką następne wyjazdy do szpitala w Warszawie.

Nadzieja

Najważniejsze jest to, że pojawiło się światło w mroku.

- Guz został wycięty w całości i to bardzo ważne. W środę miała rezonans po radioterapii i na szczęście jest czysto: nie ma nacieków i przerzutów - mówi mama Michalinka. - Córka nadal ma chwiejny chód, zarzuca ją na prawą stronę, ale ćwiczy z fizjoterapeutą. Tłumaczył, że to wypracuje. Mowę ma teraz już naprawdę dobrą, ale być może będzie jeszcze potrzebny logopeda. Czasem zapomni słowa, trudniej jej powtórzyć jakieś trudniejsze, ale ma przecież dopiero 3,5 roku.

M.in. dalekie wyjazdy do szpitala, leczenie, terapia psychologiczna dla dziewczynki i jej najbliższych czy rehabilitacja w przyszłości - to wszystko wymaga dużych pieniędzy. Michalinka będzie potrzebowała neuropsychologa.

Mama dziewczynki musiała zrezygnować z pracy, by na stałe opiekować się chorą córeczką. Mają jeszcze dwójkę starszych dzieci.

Dlatego powstała zbiórka. Aby pomóc, należy wejść na stronę **pomagam.cancerfighters.pl** i wpisać w wyszukiwarce: Michalina Kienda

Będzie nowa trasa na lubuskie lotnisko

Eliza Gniewek -Juszczak
egniewek@gazetalubuska.pl

W drodze na lotnisko będzie można ominąć wąskie i kręte uliczki w Klepsku, Janowcu, Kolesinie i Nowym Kramsku. Droga od strony Zielonej Góry do portu lotniczego będzie miała nowy przebieg.

Zarząd Dróg Wojewódzkich w Zielonej Górze poinformował o ogłoszeniu przetargu na tę inwestycję. Zadanie to obejmuje budowę dwóch odcinków dróg. Pierwszy liczy ok. 10,6 km, z czego ok. 7,6 km przebiegnie



FOT. MARIUSZ KAPALA

nowym śladem. Będzie to obwodnica miejscowości Klepsk, Janowiec, Kolesin i Nowe Kramsko. Powstaną dwa wiadukty dla

bezkolizyjnego przebiegu dróg powiatowych. Jedną z nich łączy Kolesin i Brudzewo, a druga Nowe Kramsko i Podmokle Małe.

Drugie zadanie to budowa nowego odcinka DW nr 456, czyli obwodnicy Nowego Kramska o długości ok. 1 km, który ma oddzielić ruch dojazdowy do lotniska od ruchu lokalnego w centrum miejscowości. Zacznie się rondem w ciągu DW nr 304. Koniec tego odcinka zlokalizowany będzie w rejonie terminala lotniczego, tam też zaprojektowano budowę ronda.

W ramach inwestycji powstanie m.in. pięć zbiorników retencyjnych infiltracyjno-odparowujących.

Oferty będą przyjmowane do 1 lipca.

REGION PRZETARG DLA 14 GMIN

Wywóz śmieci będzie droższy?

Mateusz Pojnar
mpojnar@gazetalubuska.pl

Postępowanie przetargowe na wywóz śmieci w 14 gminach właśnie wystartowało. Mieszkańcy zadają pytanie, czy ponownie zapłacą więcej. Dziś trudno na nie odpowiedzieć.

Do Związku Międzygminnego Eko-Przyszłość należy 14 gmin z czterech powiatów: głównie nowosolskiego, też zielonogórskiego, wschowskiego, ale i glogowskiego. W ub. roku nastąpiła podwyżka ceny za wywóz śmieci z 38 do 47 zł. Wtedy wywołała falę złości wśród mieszkańców. Gorąco dyskutowali o niej m.in. radni Nowej Soli.

Teraz związek ogłosił start nowego przetargu na odbiór odpadów.

Będzie drożej?

Pytamy o to Krzysztofa Karpińskiego, kierownika referatu ochrony środowiska w Eko-Przyszłości.

- Trudno teraz odpowiedzieć na to pytanie - mówi „Ga-

zecie Lubuskiej”. - Razem z grupą roboczą, w której byli wóldarze gmin, robiliśmy wszystko, żeby tak skonstruować opis przedmiotu zamówienia, by nie było drożej. Niektóre zapisy, które mogą wpłynąć na stawkę, ograniczyliśmy i miejmy nadzieję, że tak się stanie. Liczę, że nowa stawka będzie jak najbardziej akceptowalna dla mieszkańców.

W związku słyszymy, że w ostatnim czasie trwały prace nad optymalizacją przetargu. Wiemy, jak zmieniły się niektóre zapisy.

Najważniejsze zmiany

Jeśli chodzi o bioodpady, w okresie od grudnia do lutego będą odbierane od nieruchomości jednorodzinnych raz w miesiącu.

- Szkło w jednorodzinnych będzie zabierane raz na dwa miesiące - opowiada Karpiński.

Kolejną zmianą jest to, że Punkt Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych w Nowej Soli będzie prowadzony przez Eko-Przyszłość, a nie operatora, jak było dotychczas.



FOT. MATEUSZ POJNAR

PSZOK przechodzi właśnie remont.

- Podczas wywózki odpadów wielkogabarytowych nie będzie odbierany gruz, odpady niebezpieczne i zużyte opony - mówi kierownik Eko-Przyszłości.

- Bierze się to z tego, że czasem ktoś mniej uczciwy na długości całej ulicy podstawił wszystkim mieszkańcom po cztery opony.

Chcemy tego uniknąć. Na PSZOK-u też ograniczamy opony: był zapis o czterech od osoby na rok, teraz pojawił się o czterech na jedną nieruchomość. Uważamy, że to całkowicie wystarczy.

Ograniczone będzie też przyjmowanie gruzu na PSZOK-u. Zdarzało się, że hurtowo korzystały z tego firmy remontowe, które po-

winny utylizować odpady we własnym zakresie.

- A później koszty ponoszą wszyscy mieszkańcy - tłumaczy Karpiński.

Wcześniej był zapis o 250 kg gruzu na osobę w ciągu roku - w nowym przetargu jest mowa rocznie o 150 kg od nieruchomości.

Dodatkowo właściciele nieruchomości jednorodzinnych

zgodnie ze swoją wolą również będą mogli dostać pojemnik na szkło.

Bez mycia pojemników

Jest jeszcze jedna bardzo istotna kwestia - nie będzie mycia pojemników. Dotychczas były myte przez spryskiwacze śmieciarek podczas odbioru odpadów. Tyle że mieszkańcy notorycznie narzekali, że potem i tak były zasyfione.

- Pojawiały się z tym same problemy - tłumaczy Karpiński. - Słyszeliśmy skargi, że to mycie nie było takie jak powinno. Trudno było to wyegzekwować.

W Eko-Przyszłości słyszymy, że to ekstremalne wypadki, ale jeśli dany pojemnik będzie na tyle brudny, że nie będzie się go dało opróżnić, to będzie wymieniony tak jak do tej pory.

Obecna umowa z operatorem, którym jest firma PreZero Service Zachód, potrwa do końca roku lub do momentu wykorzystania puli pieniędzy.

Nowy przetarg ma wyłonić wykonawcę na trzy lata. Otwarcie ofert nastąpi 6 lipca.

WOLNOŚĆ SŁOWA. WARTOŚĆ KLUCZOWA

Wolność słowa każde pokolenie odkrywa na nowo - bo w każdym pokoleniu media są całkowicie inne. Ale jeśli tej kluczowej wartości nie uda się zachować, to zmiany w ekosystemie mediów staną się jedynie pustą formą, bez treści

Agaton Kosiński

W styczniu 1941 r. Franklin D. Roosevelt wygłosił tradycyjne „orędzie o stanie Państwa”. Ale choć amerykańscy prezydenci tego typu mowy głoszą co roku, to tamto wystąpienie nabrało wydźwięku ponadczasowego, uniwersalnego. Dziś jest ono znane jako orędzie „Cztery wolności”. Roosevelt opisywał w nim, jak powinien wyglądać świat po zakończeniu II wojny - bo choć USA wtedy jeszcze nie weszły do globalnego konfliktu (nastąpiło to pod koniec 1941 r.), to już wtedy było wiadomo, że II wojna światowa okaże się punktem zwrotnym w dziejach.

Roosevelt wskazał cztery kluczowe obszary, o które należy dbać: wolność słowa i wypowiedzi, wolność wyznania, wolność od niedostatku, wolność od strachu. Ale na tą pierwszą położył



FOT. POLSKA PRESS

Medal Wolności Słowa to nagroda wręczana od 2021 r. dla osób zasłużonych w obronie tej kluczowej wartości

najsilniejszy akcent. „Pierwszą z nich jest wolność słowa i wypowiedzi, na całym świecie” - podkreślił.

Dziś wydaje się, że wolność słowa to wartość tak po-

wszechna, że oczywista. Że jest jak powietrze, jak podatki, jak wschód słońca rano - coś, czego nigdy nie zabraknie. Ale to tylko ułuda. „Nasze życie jest ciągłą walką” - mawiał Eurypides. Do-

tyczy to także wolności słowa. Uda się ją zachować tylko wtedy, gdy ciągle będzie miała własnych rzeczników gotowych jej bronić.

Bronić przed czym? Choćby przed błyskawicznymi zmianami zachodzącymi w naszej rzeczywistości. Wolność słowa jest wartością zagwarantowaną w polskiej konstytucji. Ale przyjrzyjmy się bliżej zapisom artykułu 54.:

„1. Każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji.

2. Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane. Ustawa może wprowadzić obowiązek uprzedniego uzyskania koncesji na prowadzenie stacji radiowej lub telewizyjnej”.

Od razu widać lukę w zapisach konstytucyjnych - bo w za-

den sposób nie obejmuje ona internetu. Teoretycznie rzecz biorąc media cyfrowe nie mają zagwarantowanej ochrony w konstytucji. Oczywiście, to konsekwencja chwili stworzenia ustawy zasadniczej, wtedy internetu zwyczajnie nie było. Ale już choćby to pokazuje, jak wolność słowa potrafi być ulotna.

Media zawsze idą na przódzie wszelkich zmian. To środowisko

szalenie dynamicznie, wyznaczające standardy zmian na świecie. Tak się działo zawsze, tak też jest teraz w czasach rewolucji cyfrowej. Ale bez zapewnienia fundamentu, jakim jest wolność słowa, ta zmiana będzie tylko pustą formą pozbawioną treści. Jeśli ta kluczowa dla demokracji wolność ma zostać zachowana, trzeba o nią dbać w każdym pokoleniu.

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

Wskazań kandydatów do uhonorowania Medalem Wolności Słowa można dokonywać poprzez wypełnienie formularza zgłoszeniowego na stronie internetowej <https://medal.fundacja-grandpress.pl>. Kandydatów mogą zgła-

szać:

- kolegia redakcyjne mediów
 - władze organizacji pozarządowych, fundacji i stowarzyszeń
 - pełnoletni obywatele Polski
- Zgłoszenia przyjmowane są do 12 czerwca.

KRÓTKO

SŁAWA

Pożar w hali z odpadami

Do groźnego pożaru doszło wczoraj w Ciepłowni w gminie Sława. Ogień pojawił się w zakładzie zajmującym się utylizacją odpadów.

- Strażacy szybko przystąpili do działań gaśniczych. Z dysponowaną również została specjalistyczna grupa ratownictwa chemiczno-ekolo-

gicznego z Poznania, która nie stwierdziła zagrożenia dla osób mieszkających w pobliżu oraz środowiska.

Na szczęście nikomu nic się nie stało - informuje mł. bryg. Arkadiusz Kaniak, rzecznik prasowy Lubuskiego KW PSP. W akcji gaśniczej uczestniczyło 17 zastępów strażaków.

ZIELONA GÓRA

Ludzie, co wy tam wrzucacie?

Bezmyślne wrzucanie do toalet różnych odpadów spowodowało awarię pompy w głównej pompowni ścieków w mieście. Jej wymiana wymagała mozolnej i ciężkiej pracy ręcznej. W ruch poszły nietypowe jak na tę branżę narzędzia, w tym siekiery.

- Pompa została opleciona ogromną ilością odpadów,

które wraz z tłuszczem i piaskiem utworzyły zbite zatory. W masie znalazły się duże ilości włókien i chusteczek, które mieszkańcy masowo wrzucali do toalet zamiast do kosza - informują Wodociągi Zielona Góra. Przypominają, że do sedesu, oprócz odchodów, powinien trafiać wyłącznie papier toaletowy.

Tak wyglądało życie 81 lat temu w Zielonej Górze

Leszek Kalinowski
lkalinowski@gazetalubuska.pl

Nie byłoby takiej Zielonej Góry, gdyby nie zaangażowanie pionierów, którzy budowali polską tożsamość miasta - podkreślali uczestnicy obchodów 81. rocznicy Powrotu Zielonej Góry do Macierzy.

Jak mówił prezydent Marcin Pabierowski, początki powojennej Zielonej Góry były trudne. Ludzie po wojennych przeżyciach przyjeżdżali tu z różnych stron i musieli tu zacząć wszystko od początku. Trzeba było uruchamiać wodociągi, fabryki, szkoły czy szpitale, tworzyć urzędy. Wtedy nazwę miasta pisało się łącznie: Zielonagóra. I taka pisownia widnieje na dawnych dokumentach.

- Znaczna część nowych mieszkańców miasta pochodziła z Wielkopolski - zauważyła Wanda Skorulska, prezeska Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry. Przypomniła zgromadzonemu, że większość mieszkańców stanowili



Pionierzy przypominali, że miasto nazywane było wtedy miastem-bombonierką

Niemcy, stacjonowało tu wojsko rosyjskie. Niełatwo było w tym tyglu narodowościowym tworzyć Zieloną Górę. A tego trudnego zadania podjął się m.in. Tomasz Sobkowiak.

Wspominano, że przed wojną pełnił on funkcję wiceprezenta Leszna. W latach 1942-1945 był więziony w Oświęcimiu. Po zakończeniu II wojny światowej Polski Związek Zachodni skierował go do Zielonej

Góry. Tu został pierwszym polskim burmistrzem. A pół roku później został także przewodniczącym rady. Żona prowadziła polski sklep. Nie bardzo podobało się to ówczesnej władzy. Urząd Bezpieczeństwa naciskał, by Sobkowiak podał się do dymisji.

Zgromadzeni oddali cześć tej ważnej postaci miasta, składając wiązanki kwiatów pod pamiątkową tablicą

na ścianie ratusza, poświęconą pierwszemu burmistrzowi.

Niektórzy wspominali też postać księdza Georga Gottwalda, który nie dzielił mieszkańców na Niemców i Polaków. Odprawiał msze także po polsku, spowiadał Polaków w ich ojczystym języku. Dziś możemy podziwiać różne zabytki w mieście. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie odwaga księdza Georga Gottwalda, który w lutym 1945 roku wyszedł naprzeciw nacierającej na miasto Armii Czerwonej. I ocalił miasto.

Później ważną postacią w historii miasta stał się ks. Kazimierz Michalski.

Pionierzy przypominali, że miasto nazywane było wtedy miastem-bombonierką. Winny Gród był zadbane, pełen magnolii, winnic i ogrodów.

Podczas obchodów zaprezentowano też spektakl słowno-muzyczny „Pociąg ze Lwowa” w wykonaniu uczniów z Zespołu Szkół Mistrzostwa Sportowego w Zielonej Górze. Scenki przypominały mieszkańcom, jak po wojnie zjechali tu m.in. Lwowiacy.

AUTOREKLAMA

0111521052



**ENERGIA
Z POLSKI**
LOCAL FIRST

Forum Dostawców
Przemysłu Energetycznego
i Obronnego
Rzeszów 2026

Już 15 czerwca w Rzeszowie Forum Dostawców Przemysłu Energetycznego i Obronnego

**Twoja firma może stać się
dostawcą w przemyśle
energetycznym i obronnym.
Wielkie inwestycje czekają
także na Ciebie.**

TEMATY PANELI:

- Biliony do wydania – jak zatrzymać kapitał w Polsce?
- Finansowanie projektów strategicznych
- Transformacja energetyczna jako szansa dla polskich firm
- Polski przemysł zbrojeniowy – od podwykonawcy do integratora

Zapisz się już dziś!

energiazpolski.pl

Udział bezpłatny.
Liczba miejsc ograniczona.

ORGANIZATOR

POLSKA PRESS GRUPA

PATRONAT MEDIALNY

**strefa
BIZNESU.pl**

PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo
Aktywów Państwowych

Wiceprezes Rady Ministrów
Minister Obrony Narodowej

Władysław Kosiniak-Kamysz

Konrad Fijołek
Prezydent Miasta Rzeszowa

WOJEWODA PODKARPACKI

Gwiazdy zjadą na Scenę Letnią w Gorzowie. Oto repertuar „teatru pod chmurką”

Jarosław Miłkowski
jmiłkowski@gazetalubuska.pl

Pięć weekendów, czternaście spektakli i koncertów oraz gwiazdy sceny i muzyki. Taka będzie kolejna edycja Sceny Letniej w Teatrze Osterwy. 27 czerwca otworzą ją Bohdan Łazuka i Czesław Majewski, a 26 lipca zakończą Adam Bałdych i Jacob Karzlon.

Bez niej trudno wyobrazić sobie lato w Gorzowie. Nic dziwnego, w tym roku odbędzie się już po raz dwudziesty czwarty. Mowa o Scenie Letniej, jak brzmi potoczna nazwa Gorzowskiego Festiwalu Teatrów Ogródkowych. Od jej pierwszej edycji w 2003 na początku wakacji impreza przyciąga ona setki - a bywa, że i ponad tysiąc - widzów.

- Tegoroczny program festiwalu charakteryzuje się niezwykłą różnorodnością, w której każdy znajdzie coś dla siebie. W repertuarze znajdują się zarówno mądre i pełne humoru bajki dla najmłodszych,

koncerty z udziałem wybitnych instrumentalistów i wokalistów, jak i widowiska dla dojrzałych odbiorców, poruszające głębokie i intymne tematy - mówi Paweł Kamrad z działu promocji i obsługi widzów.

Na tegoroczną edycję Sceny Letniej składa się czternaście spektakli i koncertów. Już pierwszy wieczór przyciągnie pewnie liczną widownię. 27 czerwca wystąpią bowiem Bohdan Łazuka i Czesław Majewski. To artyści, których nie trzeba nawet przedstawiać. Będą skecze, będą piosenki i zabawa, która każdemu przypadnie do gustu.

Gwiazd sceny będzie zresztą więcej. 4 lipca wystąpi Anna Seniuk. Zaprezentuje ona „Księgę ziół (i nie tylko)”, którą sama aktorka nazywa stand-upem na siedząco. Gdy dwa i pół roku był on pokazywany na Gorzowskich Spotkaniach Teatralnych, trzeba był dostawiać krzesła.

Na gorzowskiej Scenie Letniej zagości też m.in. Katarzyna Dąbrowska. Popularna aktorka 12 lipca śpiewać będzie pio-



FOT. TEATR OSTERWY W GORZOWIE

senki z repertuaru Danuty Rinn. Będzie też Artur Gotz, który z kolei dzień wcześniej, 11 lipca, wykona utwory Marka Grechuty.

Kompletu publiczności spodziewać się będzie można także 18 lipca. W ten sobotni wieczór piosenki napisane spe-

cialnie dla niej przez Krzesimira Dębskiego i Jacka Cygana, śpiewać będzie Anna Jurkiewicz.

Dzień później, 19 lipca, pojawią się natomiast Małgorzata Bogdańska i Marek Koterski, prywatnie małżeństwo.

- Wspólnie podróżują po Polsce ze swoim Teatrem w Wa-

lizce, prezentując spektakle powstałe w tym niezwykłym, kameralnym teatrze - mówią o tym duet organizatorzy.

Zjawiskowo zapowiada się też ostatni weekend Sceny Letniej. Najpierw 25 lipca wybrzmiewać będą piosenki Leonarda Cohena w interpretacji

Wojciecha Skibińskiego i Krzysztofa Taraszkę, a koncert poprowadzi ceniony radiowiec Paweł Sztompke. 26 lipca na finał tegorocznej edycji wystąpi natomiast Adam Bałdych i szwedzki pianista Jacob Karzlon. Muzyczne poruszenia gwarantowane...

Na Scenie Letniej nie zabraknie też spektakli dla dzieci. Będą cztery. 3 lipca Teatr Małe Mi zaprezentuje „Kłosze szczęścia”, 10 lipca Teatr Picoło - „Calineczkę”, a 17 lipca aktorzy Teatru Katarynka pokażą „W miejskiej dżungli”. Ostatnim spektaklem dla najmłodszych będą „Trzy świnki” Teatru Żelaznego (24 lipca).

Podobnie jak we wszystkich poprzednich edycjach wstęp na koncerty i spektakle jest darmowy. Piątkowe przedstawienia dla dzieci rozpoczynają się w samo południe, z kolei sobotnie i niedzielne wieczory niezmienne o 20.30. Gdy pół godziny później dzwoni pobliski kościół daje znak na Apel Jasnogórski, często staje się on także „częścią” przedstawienia.

REKLAMA

0011532889



Tu dzieciństwo ma dobry adres!

Rekrutacja otwarta-ciągła!
Zapisz swoje dziecko (1-3 lata) do naszego zespołu klubów.

Dlaczego my?

-  **Dogoterapia** – wsparcie, relaks i przyjaźń
-  **Język angielski** – nauka przez zabawę
-  **Tańce** – radość i rytm
-  **Zajęcia sensoryczne** – odkrywanie świata wszystkimi zmysłami
-  **Zajęcia z neurologopedą** – Twoja mowa ma znaczenie

Dni otwarte!
ul. Unii Europejskiej 4
66-010 Nowogród Bobrzański
tel. 576 573 180

 Zapewniamy troskliwą opiekę, rozwijające zabawy i bezpieczną przystań dla Twojego maluszka.

Gmina Nowogród Bobrzański ciągle zaskakuje nowymi inicjatywami i stworzyła wspaniałe miejsce na terenie ziemi lubuskiej!

Przy ulicy Unii Europejskiej 4 ruszył nowoczesny
Zespół Klubów Dziecięcych.

 **Dołącz do nas!**
Nie zwlekaj! Przyjdź i zobacz,
jak pięknie może zaczynać się dzieciństwo!

Wychodzimy naprzeciw potrzebom rodziców wracających na rynek pracy. Prowadzimy rekrutację ciągłą, co oznacza, że możesz zapisać dziecko w dowolnym momencie roku, w miarę dostępności wolnych miejsc. Zapraszamy rodziców dzieci od 1 - 3 r.ż.

Placówka powstała w ramach programu „Aktywny Maluch 2022-2029”. Dzięki temu dofinansowaniu stworzyliśmy nowoczesną, doskonale wyposażoną i bezpieczną przestrzeń. Pracujemy w oparciu o Standardy Opieki nad Dziećmi do lat 3, gwarantuje to najwyższą jakość edukacji oraz opieki.

Doskonale wiemy, jak w dzisiejszych czasach ważne jest indywidualne wsparcie i podejście do każdego dziecka. To, co nas wyróżnia, to zespół profesjonalistów, dla których praca z maluchami to prawdziwa pasja. Dbamy o to, aby każdy podopieczny czuł się u nas swobodnie, bezpiecznie i komfortowo, odkrywając świat w swoim własnym tempie.

Serdecznie zapraszam do kontaktu i odwiedzin. Z chęcią odpowiem na wszystkie pytania rodziców – podsumowuje Dyrektor Iwona Marcinowska.

Rozwijamy z pasją, opiekujemy się z miłością!



Fundusze Europejskie
dla Rozwoju Społecznego



Rzeczpospolita
Polska

Dofinansowane przez
Unię Europejską



KRAJOWY
PLAN
ODBUDOWY

Dofinansowane przez Unię Europejską – NextGenerationEU

Zespoły, śpiewacy i kapele



FOT. ARCH. ORGANIZATOR

Podczas festiwalu odbędą się wieczory taneczne

Jarosław Wnorowski
PRZEWÓZ

Aż do niedzieli w parku gminnym trwać będzie szósta edycja Festiwalu Zespołów, Śpiewaków i Kapel ludowych „Na Przydrożku”

Organizatorzy zaprosili lokalne kapele, które na żywo przygrywać będą do tańca np. w piątek o godz. 18 przy ognisku, zagra kapela „Byszewianie”, zaś w sobotę o godz. 20 kapela „Traszo”. Będzie też tradycyjny moduł festiwalu czyli otwarta scena dla chętnych. W tym roku zgłosiła się rekordowa liczba uczestników, bo aż 63, głów-

nie z Polski, ale także i z Niemiec. Są to m.in. Gemischter Volkschor „Eintracht” z pobliskiego Bad Muskau, zespół Górali Czadeckich, regionalny zespół „Gubińskie Łużyckanki”, Zespół Ludowy Ziemi Piotrkowskiej, zespół Wierzbiczanki, kapela zespołu „Dolina Nowego Sołonica” czy Zespół Tańca Ludowego „Głogowianie”. Odbędzie się otwarte warsztaty taneczne. Dziś i jutro będzie można doskonalić swoje umiejętności wokalne lub gry na instrumentach. Na zakończenie, w niedzielę o 15., odbędzie się koncert laureatów połączony z wręczeniem nagród. Wstęp wolny.

WYDARZY SIĘ

REGION

Co nas czeka już niedługo

8.06 - Wielkie grillowanie na Dni Kultury Studenckiej, Zielona Góra
12-13.06 - Bachanalia, Zielona Góra,
12-14.06 - Dni Wschowy,
12-14.06 - 18. Nocny Szlak Kulturalny, Gorzów,
12-14.06 - Dni Grodu Santok,
14.06 - Koncert promenadowy OD Zastal w Zatoniu,
19-20.06 - Spotkanie z piosenką turystyczną i żeglarską, Żagań,
20.06 - Noc Kupały, Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze-Ochli,
21.06 - Piknik Czołgisty, Lubuskie Muzeum Wojskowe, Drzonów,
26-28.06 - Dni Żar,
26-28.06 - III. Campowisko - Festiwal Podróżu, Świebodzin,
28-06-05.07 - 55. Lubuskie Lato Filmowe, Łagów,
28.06 - Festyn „Dobre, smaczne bo lubuskie”, Muzeum Etnograficzne, Ochla,
3.07 - Otwarcie wystawy „Ziemia mówi szeptem”, BWA Zielona Góra.
JERRY

NOWA SÓL



FOT. ARCH. MUZEUM MIEJSKIEGO W NOWEJ SOLI

W niedzielę godz. 13, w Muzeum Miejskim, odbędzie się prelekcja przedstawiająca życie Antonia Gaudiego, a po nim oprowadzanie kuratorskie po wystawie przybliżającej twórczość wybitnego Katalończyka. To monograficzna ekspozycja upamiętniająca jednego z najwybitniejszych architektów w historii, w setną rocznicę jego śmierci. Wstęp wolny.

JERRY

Piwnice winiarskie zapraszają ponownie

Jarosław Wnorowski
ZIELONA GÓRA

Do soboty (6.06) w mieście i okolicach odbywać się będą Dni Otwartych Piwnic Winiarskich. To kontynuacja akcji, która odbyła się podczas tegorocznej majówki.

Jak przekonują organizatorzy: „To niepowtarzalna okazja, by poczuć klimat winiarskiego świata ukrytego w wiekowych piwnicach, w których dawniej leżakowały beczki z winem”. Większość piwnic jest na co dzień niedostępna do zwiedzania. Podczas wydarzenia będą czekać w nich jedna, dwie lub nawet trzy lubuskie winnice. Można porozmawiać z winiarzami, poznać tajniki produkcji wina, a przede wszystkim spróbować znakomitych trunków. Piwnice będą dostępne od godziny 12 do 22, a część z nich „do ostatniego gościa”. W 34 historycznych piwnicach zaprezentuje się 46 winnic. Będą one oznakowane specjalnymi strzałkami na zielonogórskim deptaku, a organizatorzy przygotowali specjalną mapkę dla gości. Wydarzeniami towarzyszącymi będą liczne koncerty, a niektóre z nich mogą być biletowe. Posłuchamy m.in. muzyki ludowej, francuskiej oraz zespołów: „The Epilogue”, „Mamada”, „Jarga”, „Day after day” (z przebojami Erica Claptona), „Róża i lis”, „Sotto il cielo d'Italia”, „Kapu Kai” czy „Tankujemy jazz



FOT. MARIUSZ KAPALA

Organizatorem Dni Otwartych Piwnic Winiarskich jest Fundacja Tłocznia, przy wsparciu miasta

z CPN”. W tym roku nie zabraknie degustacji komentowanych. Jedną z nich - „Wino i śledź - miłość ponad podziałami” poprowadzą w sobotę o godz. 19 Gienon Mientkiewicz i Kinga Kowalewska-Koziańska, w „Sali Szeptów” (ul. Sowińskiego 3). To pozostałość po dawnej wytwórni win Eduarda Seidela, który prowadził ją od połowy XIX wieku. Dodatkowo odbędą się spacer winiarskie (np. dziś o 12:30 zwiedzanie z przewodnikiem Muzeum Wina w Muzeum Ziemi Lubuskiej), spotkań, rejsów galarami po Odrze i Obrzycy z portu w Cigacicach, kiermaszu produktów regionalnych oraz winobusów do winnic. W piwnicach będzie można ponadto kupić regio-

nalne potrawy i produkty spożywcze od producentów zrzeszonych w Lubuskim Centrum Produktu Regionalnego. Odbędzie się też kiermasz rękodzieła. Wszystkie szczegóły dotyczące wydarzenia będzie można uzyskać w trakcie trwania imprezy na stoisku organizatora, na deptaku przy pomniku Bachusa, które będzie czynne w godz. 11-21. Wstęp do piwnic jest bezpłatny, należy jednak nabyć karty na ewentualne degustacje. W cenie karty jest 16 (wersja podstawowa) lub 32 (wersja max) porcje degustacyjne wina (po 40 ml). Na zakończenie wydarzenia, w sobotę o 21:30 na deptaku koło ratusza, pokaz przedstawi Teatr Ognia Karmazyn.

WYBIERZ SIĘ

ZIELONA GÓRA

Zapomniane biskupstwo

Dziś o godz. 17, w Muzeum Ziemi Lubuskiej odbędzie się wernisaż wystawy „Sztuka i architektura biskupstwa lubuskiego. Śladami zapomnianego dziedzictwa”. Rozciągające się niegdyś po obu stronach środkowej Odry biskupstwo lubuskie miało wyjątkowo burzliwe dzieje. Mimo że założoną w latach 1124-1125 diecezję rozwiązano już w roku 1598, na jej dawnym obszarze do dziś zachowało się bogate i różnorodne dziedzictwo kulturowe z czasów jej istnienia. Dzięki położeniu między ważnymi ośrodkami Wielkopolski, Śląska, Saksonii, Łużyc i Marchii Brandenburskiej, budowle sakralne z tego terenu oraz ich wyposażenie odznaczają się niezwykle różnorodnością wpływów artystycznych. Obok najbardziej rozpoznawalnych świątyń we Frankfurcie nad Odrą i w Fürstenwalde, można tu odnaleźć również okazałe kościoły miejskie, budowle templariuszy i joannitów, rezydencje biskupie, a także liczne wiejskie kościoły. Wstęp wolny.
JERRY

ZIELONA GÓRA

Czechow na scenie



FOT. ARCH. LUBUSKIEGO TEATRU

W sobotę oraz niedzielę (odpowiednio o godz. 19 i 18) na scenie Teatru Lalek, akto-ry Lubuskiego Teatru wystawią coś z klasyki literatury rosyjskiej. Będą to jednoaktówki „Oświadczyń” i „Niedźwiedź” w reżyserii Juliusza Dzieńkiewicza. To powstałe w 1888 r. „żarty sceniczne” Antona Czechowa, który przyglądał się życiu rosyjskiego ziemianstwa i inteligencji ówczesnych czasów. Wiele z ich zachowań, mimo upływu czasu jest nadal aktualnych, a ludzie jakoś tak bezrefleksyjnie powtarzają te same błędy. Wstępy płatne.
JERRY

GORZÓW

Cystersi z Mironic

W środę o godz. 17, w Muzeum Lubuskim (zespół willowo-ogrodowy), w ramach kolejnej odsłony Gorzowskich Konwersatoriów Muzealnych, wykład na temat zakonu Cystersów wygłosi dr Małgorzata Pytlak, kierownik Muzeum Grodu Santok oraz autorka książki „Dawne opactwo cysterskie w Mironicach w świetle wyników badań archeologiczno-architektonicznych i antropologicznych”. Ta niewielka wieś położona w odległości 2 km na północny zachód od Kłodawy, w połowie drogi do Santoka, na kartach historii pojawiła się 22 maja 1300 roku, w akcie fundacyjnym margrabiego brandenburskiego Albrechta III, który Cystersom przekazał wieś z przyległościami. Miejsce tak urzekło zakonników że określali je Locus coeli (niebiańskie miejsce). Na początku XV wieku dobra zakonne zostały splądrowane w czasie wojny polsko-krzyżackiej, a w 1539 nastąpiła ich sekularyzacja w dobie reformacji. Na wykład wstęp wolny.
JERRY

ROZŚPIEWANE GORZOWIANKI ZARAŻAJĄ OPTYMIZMEM

Jest ich osiem, właśnie zdobyły kolejne wyróżnienie, a w czerwcu mają koncerty co kilka dni. - Muzyka nas jednoczy - mówią. Gorzowski zespół Optymistki właśnie świętuje dziesięciolecie.

Jarosław Milkowski

Dlaczego nazywamy się Optymistki? Bo każda z nas jest pozytywną osobą. Wystarczy na nas spojrzeć - mówi z uśmiechem Grażyna Popławska. - Optymistyczne mamy nastawienie do życia, do każdego dnia. Staramy się patrzeć na nie z tej dobrej strony, żeby to później słysząc było w naszym śpiewaniu - dodaje.

W siedzibie gorzowskiego klubu Miejskiego Centrum Kultury Jedyne (na rogu ul. Chrobrego i 30 Stycznia) spotykamy się z ośmioma uśmiechniętymi paniami. W tym roku oktet obchodzi już dziesięć lat istnienia. Kogo w nim nie ma? Jest była polonistka, była pracownica spółdzielni mieszkaniowej, była wuefistka. Dziś każda już na emeryturze. I chce się dzielić wielką radością w sercu.

- Optymistycznie także szukamy swojego repertuaru - mówi Ewa Mączyńska, która prowadzi próbę, na której jesteśmy gośćmi. Zespół szykuje się już do jednego z jubileuszowych występów. Odbędzie się on już w najbliższą środę, 10 czerwca, właśnie w Jedynce.

„Disco polo nie śpiewamy”

Optymistki powstały z inicjatywy nieżyjącego już Zbigniewa Bociana, znanego gorzowskiego animatora kultury. Po jego śmierci opiekunem muzycznym grupy został Stanisław Węgrzyn, wieloletni organista katedralny.

- On też już jednak śpiewa z aniołami. Teraz mamy panią Ewę, która pilnuje naszych głosów - mówi Wanda Majchrzak.

- Wiele wkłada też Wandzia, jedna z dwóch, które mamy. To ona dba o różne ozdoby na nasze występy - dodaje Elżbieta Białecka.

- Wyszukuję podkłady do piosenek, które śpiewamy - mówi skromnie Wanda Brzeziecka. - Szperam w internecie, kupuję z różnych źródeł. Jeśli jest kilka wersji tego samego podkładu, to wybieramy ten, który nam najlepiej pasuje - dodaje jedna z Optymistek.

- Staramy się śpiewać świątowe i polskie przeboje. Jakich?



To zależy, jaka jest publiczność - mówi Wanda Majchrzak.

- Ale disco polo nie śpiewamy - dodaje stanowczo druga pani Wanda.

„Nigdy nie bój się marzyć, śpiewać, żyć. Nigdy nie bój się tak po prostu być. Życie odda ci to, co ty mu dasz. Pokaż swoje serce, swą prawdziwą twarz” - wybrzmiewa po chwili, gdy zaczynają już próbę.

- Śpiewamy piosenki rozrywkowe, patriotyczne, koledy - mówi liderka zespołu. Przykłady? Choćby „Od nocy do nocy” z filmu „Noce i dnie”, „To świt, to zmrok” ze

„Skrzypka na dachu” czy piosenki z repertuaru Eleni. - Wyszukujemy takich piosenek, których nikt nie śpiewa. Na każdą okazję zawsze szukamy czegoś nowego. Nie chcemy, żeby utwory się powtarzały. Żeby nie było tak, że jest dziesięć zespołów i każdy z nich śpiewa „Rozkwitały pąki białe róż” - śmieje się Mączyńska.

Lubią śpiewać od dziecka

Co ważne, w zespół w całości składa się z pasjonatek.

- Żadna z nas nie ma wykształcenia muzycznego. Lu-

bimy śpiewać, a śpiewamy z pasji. Może nie tak jak umiemy, ale jak lubimy - opowiada Kazimiera Świtał. Wraz z Ewą Mączyńską śpiewały wcześniej w chórze parafii św. Maksymiliana Kolbe na gorzowskim Górczynie. Dziś są w zespole.

- Muzyka nas jednoczy - mówi zgodnie Optymistki, wśród których jest także Wiesława Grabowska.

- Od najmłodszych lat lubiliśmy śpiewać. Chóry szkolne, chóry licealne... To nasza pasja, przyjemność. A poza tym, co tu dużo mówić, lubimy się ze sobą

spotykać. Potem bierzemy udział w konkursach, zdobywamy nagrody. I to też nas motywuje do pracy - mówią.

Śpiewają nawet mężom do snu

Próby zespołu są dwa razy w tygodniu. A w ich trakcie nie ma rozmowy o rodzinie, chorobach, zakupach. Najważniejsze jest śpiewanie.

- To są rzeczywiście próby muzyczne. Śpiewamy, zastanawiamy się, jak interpretować tekst, dobieramy głos. To jest ciężka praca przez dwie godziny. My to nawet w domu

śpiewamy. Musimy się przecież i tekstu nauczyć, i melodii - mówi Elżbieta Białecka.

- Mój mąż, gdy kładziemy się spać, to każe mi do snu śpiewać. Nudno nie jest - mówi Ewa Mączyńska.

- Jak osiągniemy jakiś sukces, to ja zawsze przekazuję informację córce czy wnuczce. Wysyłam im nagrania, żeby były na bieżąco, jak babcia śpiewa - mówi Zofia Lisiewicz.

Z działalnością Optymistek na bieżąco może być każdy internauta. Panie są bowiem aktywne w mediach społecznościowych. Filmiki z ich piosenkami mają po tysiące odtworzeń.

- Dużo nagrań mamy na Facebooku. Tam jest dużo pozytywnych komentarzy. Ludziom się nasze śpiewanie podoba. I tym większa jest nasza satysfakcja - mówi Grażyna Popławska.

Nagroda pójdzie na stroje

W ostatni weekend Optymistki zdobyły wyróżnienie na XXXII Spotkaniach Wykonawców Piosenek Kresowej im. Piotra Frankowa „Kresoviana 2026”. Obok pucharu od wojewody i dyplomu dostały też nagrodę finansową - 500 zł. Pieniądze pójdą na stroje. Za to, jak zespół prezentuje się na scenie, odpowiadają razem.

- Zawsze dochodzimy do konsensusu. Mamy pięć kompletów strojów, a tylko jeden jest kupny. Kupujemy bowiem materiał i później krawcowa szyje. Mamy żakiety, bluzeczki. Nas jest osiem, więc ciężko jest pójść do sklepu i coś wybrać. Każda z nas przecież nosi inny rozmiar. Lepiej więc wybrać materiał i coś uszyć - mówi E. Mączyńska.

Koncert za koncertem

Ile dały już koncertów? Około stu, albo i więcej.

- Kroniki nie prowadzimy, ale występujemy na Dzień Kobiet, Dzień Matki, powitanie wiosny. Do tego jest koledowanie, występy patriotyczne. W ciągu roku tego się uzbiera. Któregoś razu śpiewaliśmy nawet w Szkole Podstawowej nr 13. Gdy podeszli do nas chłopcy z pytaniem, kiedy będziemy śpiewać, byliśmy mocno zdziwione - mówi liderka zespołu. A gdy po chwili otwiera kalendarz, aż roi się w nim od zapisków.

W środę 10 czerwca - koncert jubileuszowy w Jedynce. W piątek 12 czerwca - w tym samym miejscu występ na Nocnym Szlaku Kulturowym, kultowej gorzowskiej imprezie. 15 czerwca - występ na Starym Rynku, a 17 czerwca - w Muzeum Lubuskim. A to jeszcze nie wszystko! 16 sierpnia mają zaplanowany 50-minutowy występ na Dobry Wieczór Gorzów. Będzie się zatem działo.

DOBRE CZASY W PRZYZCHODNI POLSKIEJ WEŁNY

- Lekarskie gabinety były wyposażone we wszystko. Nie musieliśmy się martwić o pieniądze. Mieliśmy pierwszy w mieście ultrasonograf kupiony za dolary – wspomina doktor Czesław Dziurko. Gdy w 1999 roku przychodnia Polskiej Wełny zamykała się, wyszedł tylko z teczką.
- Nie miałem tam nic więcej swojego. Nawet fartuchy były państwowe – mówi.

Eliza Gmiewek-Juszczak

W poczekalni siedziało około dziesięciu pacjentów. W poniedziałki było nieco więcej ludzi. Za to w piątki czy soboty, które wtedy były jeszcze pracujące, przychodziło zdecydowanie mniej osób. U kobiet zdarzało się przemęczenie pracą w zakładzie i domu. Nie brakowało okresowych przebiegów – wspomina doktor Czesław Dziurko, internista i specjalista medycyny pracy, który w przychodni Polskiej Wełny pracował od 1965 do 1999 roku.

Za małą przychodnią

W pracowniczey przychodni można było liczyć na pomoc kilku internistów, trzech dentystów, dwóch laryngologów, był dostępny nawet ginekolog. Na miejscu działały apteka i laboratorium, w którym badano pobrane materiały do cytologii.

– Mówiłem, że nie mieścimy się w willi przy ul. Wrocławskiej. Proponowałem dobudować z tyłu parterowy pawilon. Okazało się, że trwają już przesiedlenia z hotelu robotniczego do mieszkań i tam znalazło się dla nas miejsce.

Ale musieliśmy jeszcze wystąpić po oficjalne zgody. Dostaliśmy je i w 1972 roku otworzyliśmy nową większą przychodnię przy ul. Sienkiewicza 36. Zajmowaliśmy dwa piętra. Niezależnie od tego, na terenie zakładu, tam, gdzie były szatnie, wybudowaliśmy zakład rehabilitacji z basenem, salą gimnastyczną itd. Byliśmy chyba ciut lepsi od Zastalu. Mówiło się, że to Zastal był największy w mieście, ale więcej ludzi zatrudniała Polska Wełna. W samym zakładzie pracowało 3400 osób, ale do tego była cerownia pro-

wadzona chałupniczo. Około 500 kobiet pracowało w swoich domach. W sumie to było około czterech tysięcy pracowników – wylicza doktor.

Niczego nie brakowało

Nasz rozmówca podkreśla, że mieli zapewniony wysoki komfort, zarówno pracy dla lekarzy, jak i dla pacjentów.

– Nie dyskutowano z nami o pieniądzach. Dysponował nimi wojewódzki wydział zdrowia. Nas to nie obchodziło. Państwowe pensje były w widelkach od do. Kto zasłużył, ten miał więcej – wspomina.

Przychodnia lekarska pracowników Polskiej Wełny w Zielonej Górze w swoim najlepszym czasie była największą taką placówką w mieście. Zatrudniała 52 osoby.

– Mieliśmy nawet własną karetkę – przypomina doktor Dziurko. Była przystosowana do przewozu pacjentów, ale wozilo się nią też lekarstwa i inne potrzebne rzeczy. Rarytasem, który wprowadził rewolucję w diagnozowaniu pacjentów, był ultrasonograf duńskiej firmy. O ile wszystko, co niezbędne do codziennej lekarskiej pracy opłacał wojewódzki

wydział zdrowia, to na ten sprzęt zrzuciło się kilka zielonogórskich zakładów, oprócz Polskiej Wełny także fabryka mebli i wytwórnia wódek. Zrobiła się wtedy awantura, że przychodnia ma taki sprzęt, a szpital go nie ma. Kosztował 45 tysięcy dolarów. Jeden kolega mówił mi wtedy, że to było 10 albo nawet 20 dużych fiatów. Ale tej wartości nie da się wycenić – podkreśla.

Jedynie w mieście USG

Najbliższy taki sprzęt w tym czasie był w Skwierzynie. Doktor Dziurko jeździł tam ćwiczyć

AUTOPROMOCJA

0011533484



**zAwody
rowerkowe**
→ Zielona Góra

Zapraszamy dzieci w wieku
od 3 do 7 lat.

20 czerwca (sobota)
godz. 11.00 – 13.00

(wydawanie numerów startowych
od godz. 10.00)

Parking Hipermarketu AUCHAN
Zielona Góra.



➔ Zapisz dziecko na www.gazetalubuska.pl/rowerki
Liczba miejsc ograniczona.

Organizator: 

Partner lokalizacyjny: 

Partnerzy:   

REKLAMA

0011534749

OGŁOSZENIE

Zarząd Świebodzińskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Świebodzinie ogłasza przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż odrębnej własności lokalu mieszkalnego położonego na os. Łużyckim 1 F/5 w Świebodzinie o powierzchni użytkowej 31,80 m², z którym związany jest udział wynoszący 99/10000 części w nieruchomości wspólnej.

Cena wywoławcza 163 740,00 zł, wadium 16 000,00 zł.
Przetarg odbędzie się w dniu 18.06.2026 roku o godzinie 11.00 sala nr 3 w siedzibie Świebodzińskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Świebodzinie os. Łużyckie 39.

Istnieje możliwość oględzin mieszkania w dniach 15 - 16 czerwca w godzinach 8.00 – 13.00 bądź zapoznania się z operatem szacunkowym w biurze Spółdzielni pok. 1. Dodatkowe informacje można uzyskać pod nr tel. 501 189 320.

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest zapoznanie się z „Zasadami przetargu ustanowienia odrębnej własności i przeniesienia własności lokalu mieszkalnego Świebodzińskiej Spółdzielni Mieszkaniowej” (udostępnionymi na stronie internetowej Spółdzielni pod adresem www.ssm.swiebodzin.pl bądź w biurze ŚSM) oraz wpłacenie wadium na konto Spółdzielni w Banku PKO BP SA Oddział w Świebodzinie nr 90 1020 5402 0000 0602 0021 4262. Wadium winno wpłynąć na konto Spółdzielni najpóźniej **do dnia 17.06.2026 roku**, a dowód jego wniesienia należy przedłożyć komisji przetargowej w dniu przetargu. Wadium zostanie zwrócone po zakończeniu postępowania, a w przypadku wygrania przetargu zaliczone na poczet ceny zakupionego lokalu.

Osoba ustalona jako nabywca zobowiązana będzie **do dnia 2.07.2026 roku** uzupełnić cenę lokalu do wysokości ustalonej w drodze przetargu, ponadto do poniesienia kosztów zawarcia aktu notarialnego, o którego terminie zawarcia zostanie poinformowana pisemnie lub ustnie najpóźniej w ciągu 5 dni od dnia uzupełnienia ceny zakupionego mieszkania.

W przypadku niestawiennictwa nabywcy bez usprawiedliwienia celem podpisania aktu notarialnego lub niewniesienia w wyznaczonym terminie uzupełnienia ceny, wpłacone wadium przepada.

Zarząd zastrzega sobie prawo odwołania lub unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

AUTOPROMOCJA

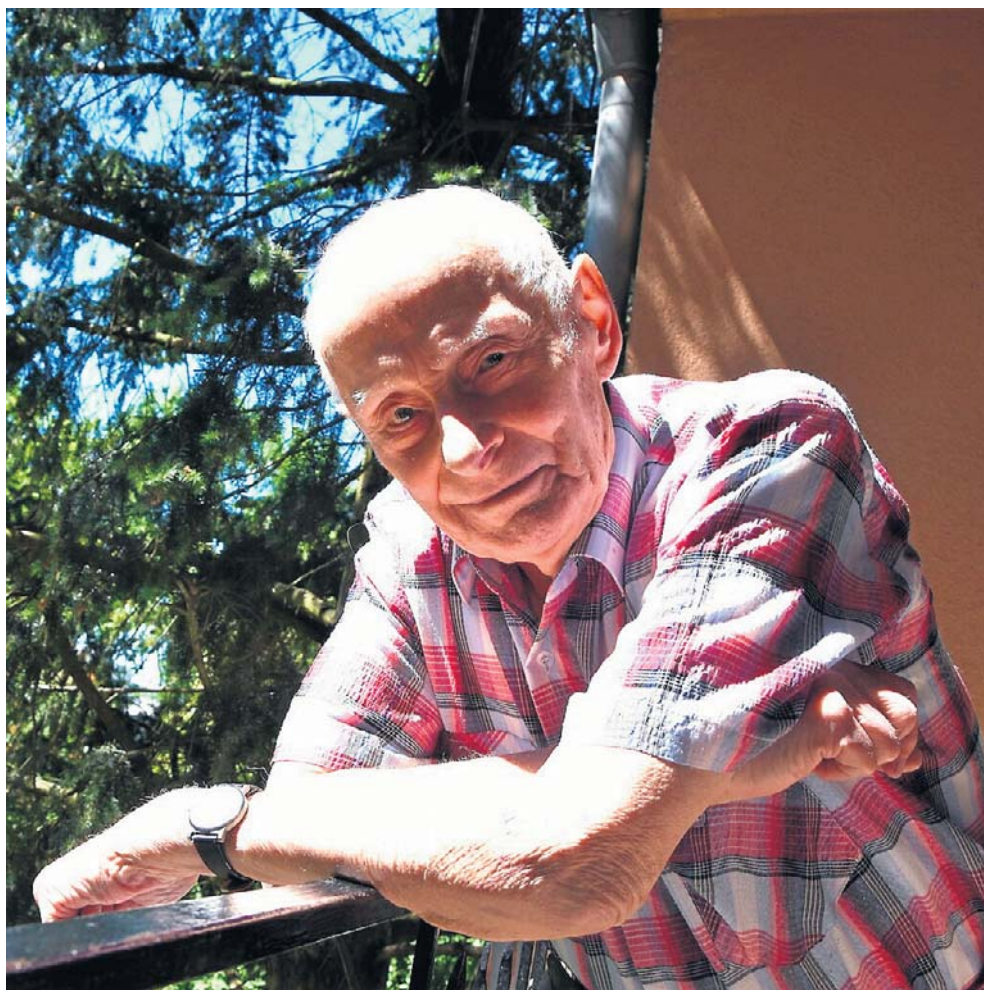
ona
- STRONA KOBIEC -

Mocna
strona kobiet



czytaj
stronakobiet.pl





FOT. ELIZA GNIEWEK-JUSZCZAK

Doktor Czesław Dziurko dziś jest już na emeryturze...

z drugim lekarzem, ginekologiem. Byli też na szkoleniu w Kopenhadze.

- Byliśmy bardzo zadowoleni. To była wielka sprawa - uniwersalny sprzęt, który pozwala wykryć zmiany, jakie następują w organizmie, czy to w układzie kostnym, czy organach wewnętrznych - wyjaśnia.

Zachowało się zdjęcie z któregoś z pierwszych badań, które wykonał doktor Dziurko. Widać na nim ogromną maszynę.

Pracownicy Polskiej Wełny byli regularnie badani w ramach badań okresowych, wyznaczanych co 2-3 lata, ale w razie potrzeby nawet co pół roku. Terminów pilnował specjalista do spraw BHP. Zdarzało się wykrycie alergii w farbiarni czy wykańczalni, ale z informacji lekarza wynika, że nie było problemów z przeniesieniem pracownika do innego działu, aby nie miał styczności z alergenem.

Liczyła się jedna panna

Czesław Dziurko urodził się w 1935 roku na Wołyniu w mieście Sarny. W 1945 roku rodzina trafiła najpierw do Wrocławia, a potem do Ślavy. Tam rozpoczął naukę w liceum, ale dokończył ją Głogowie, bo tam przeniesiono jego szkołę.

- Na wakacjach w Ślawie żeglowałem i spotkałem się z takim starszym panem o nazwisku Konieczny. Działal w związkach zawodowych. Namówił mnie, żebym szedł do przemysłu. I wybrałem medycynę. Oprócz interny zainteresowały mnie narażenia

w pracy i zająłem się też medycyną pracy - wspomina.

Studiował na Akademii Medycznej w Szczecinie (dzisiaj to Pomorski Uniwersytet Medyczny). Gdy był na piątym roku, został wyznaczony na trenera siatkówki. Prowadził obowiązkowe zajęcia dla studentów pierwszego i drugiego roku. Tak poznał przyszłą żonę. Oświadczyli sobie, kiedy Dziurko był już młodym lekarzem. Z dwoma kolegami mieszkał wtedy w pokoju pod schodami w szpitalu. Przydziel mieszkania służbowego ucieszył doktora, ale lokal był dla dwóch osób. Oświadczyli sobie, że to naturalnym krokiem. Doktor zaznacza, że podobne losy spotykały też wtedy wiele innych par, ale podkreśla, że nie oznacza to braku miłości. Do swojej ukochanej, aż do Radomia, jeździł przepelnionymi pociągami. Bywało, że trzeba było stać w łączniku pomiędzy wagonami albo poprosić miejsce w wagonie pocztowym, by w ogóle jechać.

- Koledzy śmiali się ze mnie. Mówili, że tyle jest dziewczyn wkoło, a ja zasuwał taki kawał drogi - przypomina sobie.

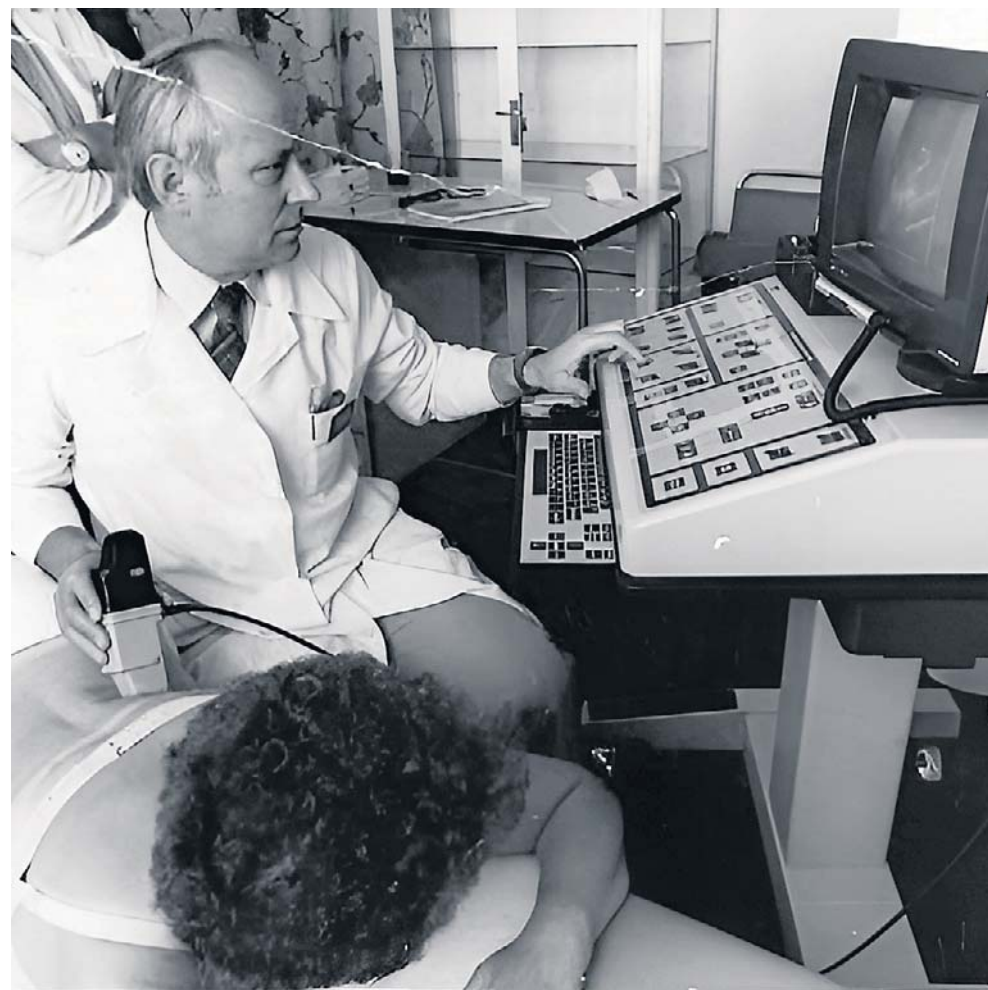
Ten zawód to duża przyjemność

W Zielonej Górze, do której przyjechał w 1962 roku, odbył staż jako lekarz sportowy.

- Pamiętam swoje pierwsze zawody żużlowe. Obserwując wyścigi, w kółko kręciłem głową. Mówili mi: „tylko się nie przewróć” - wspomina. Następnie pracował w przychodni Zaodrzańskich Zakładów Przemysłu Metalowego Zastal,

a od 1965 roku w przychodni Zakładów Przemysłu Wełnianego Polska Wełna.

- Zawód lekarza to duża przyjemność - podkreśla. A gdy przypominamy głos Czytelniczki z artykułu GL o Polskiej Wełnie sprzed lat, uśmiecha się. Zofia Janowska wspominała, że często korzystała z przychodni, bo była chorowitą osobą. „Marzyłam, by mój syn był w przyszłości tak dobrym lekarzem jak nasz Czesław Dziurko. No i okazało się, że marzenia naprawdę się spełniają” - wyznała nam wtedy Zielonogórzanka. Doktor Dziurko dziękuje za miłe słowa, ale zaznacza, że nie wszyscy zawsze byli zadowoleni.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

... a tu przeprowadza jedno z pierwszych badań USG w mieście

- Tak jest w każdej pracy. Trzeba być przygotowanym na różnego rodzaju niespodzianki - dodaje. Zapewnia też, że między pracownikami przychodni konfliktów nie było. - Bardzo dobrze nam się pracowało - podkreśla.

W 1966 roku został pierwszym prezesem Okręgowego Związku Żeglarskiego. W 1974 r. był typowany przez Przychodnię Obwodową dla miasta i powiatu w Zielonej Górze na listę kandydatów lekarzy z prywatnymi samochodami do akcji Ochotnicza Lekarska Pomoc Drogowa.

W 1999 roku otworzył gabinet w spółdzielni lekarskiej przy ul. Bohaterów Westerplatte. Obecnie jest na emeryturze.

Lekarską pasję kontynuuje córka Katarzyna Błasińska, która jest lekarzem pediatrą, specjalistą medycyny rodzinnej.

Była Polska Wełna. Jest Focus Mall

Polska Wełna powstała na bazie Niemieckiej Manufaktury WYROBÓW WEŁNIANYCH, która, jak podaje Lubuski Wojewódzki Konserwator Zabytków, należała do największych i najnowocześniejszych zakładów tego typu w tej części Europy. Zielonogórska fabryka działała aż do upadłości zakładu w 1999 roku.

- Mówili nam, że Związek Radziecki składał duże zamówie-

nia, zakład kupował dużo materiału, żeby je zrealizować, a wtedy ZSRR upadł i Polska Wełna została z długami, z których nie udało się już podnieść. To miał być powód upadłości. Czy tak mogło być? - zastanawia się. - Kiedy zamykaliśmy przychodnię, wziąłem swoją teczkę, z którą przychodziłem, i poszedłem do domu. Nic tam nie było więcej mojego. Nawet fartuchy były państwowe - mówi.

Na terenie dawnej fabryki dziś działa galeria handlowo-rozrywkowa Focus Mall, która została otwarta we wrześniu 2008 roku, natomiast w dawnej przychodni od 2012 roku mieści się prywatna szkoła.



FOT. ARCHIWUM GL

Mówiło się, że każdy Zielonogórzanin ma w rodzinie kogoś pracującego w Polskiej Wełnie

WESPÓŁ W ZESPÓŁ

Ta historia mrozi krew w żyłach, a jednocześnie ogromnie wzrusza. Właściciele 91 mieszkań przez kilka lat nie mogli odebrać kluczy, bo deweloper nie był w stanie dokończyć inwestycji. Z kredytami do spłacenia, mieszkając kątem u rodziców, teściów, lub płacąc słono za wynajem i z ogromną niepewnością, co dalej, walczyli i działali. Dzięki pracy kancelarii prawnej i wielu zaangażowanych osób, w końcu mogą się wprowadzać do swoich mieszkań

Aleksandra Łuczyńska

Rozwody, śluby, rozstania, narodziny dzieci... W ciągu kilku lat właściciele 91 mieszkań w bloku Lusatia w Żarach spotkało wiele. W tym czasie łączyło ich jedno. Nikt z nich nie mógł odebrać kluczy do mieszkania i się wprowadzić. Były łzy, stres, kłótnie, nocne koszmary, ale zdarzyło się coś niezwykłego... Jest happy end. Dziś mogą płakać, ale na szczęście już tylko z radości.

Kątem u teściów albo rodziców

Kupili od dewelopera mieszkania jak z folderu i odliczali tylko dni do przeprowadzki, po czym okazało się, że budowa bloku, w którym mieli się lokale, stała w miejscu i nie wiadomo było, czy w ogóle się zakończy... Przez kilka lat żyli więc w ogromnej niepewności i strachu. To 91 historii, każda inna. Jedni brali kredyty i mieszkali kątem u rodziców, teściów, inni płacili słono za wynajem mieszkań i czekali. To prawdziwe, ludzkie dramaty.

- My jako jedni z pierwszych kupiliśmy to mieszkanie w 2019 roku, pełni nadziei, że w 2021 roku zamieszkamy tutaj. Zależało nam na mieszkaniu w bloku z windą, bo mój mąż zachorował, nie mógł chodzić, z czynnego zawodowo człowieka z dnia na dzień dotknęła go niepełnosprawność. Jakby tego było mało, moja mama, która mieszka niedaleko, zachorowała na parkinsona - wspomina Danuta Kudlińska, właścicielka jednego z mieszkań i obecnie członkini zarządu wspólnoty. - Pamiętam jedno zebranie, na które deweloper przyszedł i mówił tak nieskładnie, aż w końcu Piotr Mikołajczyk wstał i powiedział: „Ludzie, czy wy widzicie, że nic z tego nie będzie? Ten człowiek jest skończony. Jak nie weźmiemy sprawy w swoje ręce, to się nie uda!”. Moim zdaniem ktoś taki, jak ten deweloper, nie powinien zakładać firm i zarządzać czymkolwiek. Na szczęście dziś to już historia i dzięki naszym wybawcom, naszym Trzem Muskietierom - panu Mi-



Piotr Mikołajczyk, Piotr Podbielski i Ludwik Podbielski - Trzej Muskietierowie...

kołajczykowi oraz Ludwikowi i Piotrowi Podbielskim, możemy się wprowadzać. Nikt inny by tego nie zrobił.

Zapozyczył się, zastawił majątek

Jak potwierdza Piotr Podbielski, blok miał być gotowy w wakacje 2021 roku. Z różnych względów deweloper nie był jednak w stanie dokończyć budynku. Co więcej, miał jeszcze pięć takich inwestycji w innych miastach. Były tłumaczenia, że wszystko przez pandemię, potem wybuch wojny, ale nadzieja osób, które czekały na swoje mieszkania, gasła. Deweloper zapożyczył się, zastawił majątek prywatny, żeby skończyć ten jeden blok, ale już na przełomie 2023 i 2024 r. wiadomo było, że to się nie uda.

- Co prawda, na rachunku powierniczym było zebrane ponad 1,5 miliona złotych, ale zasada otrzymywania tych środków przez dewelopera jest taka, że musi skończyć ze swoich funduszy pewien etap, żeby dostać następne środki. Nie było to możliwe z punktu widzenia płynności finansowej. W listopadzie 2023 zaczęliśmy organizować próbę dokończenia budowy bloku i finalnie udało nam się umówić z trzecim wykonawcą. Zaufała nam

firma Janbud z Żar. Dokończyliśmy blok na nasz koszt, chociaż to jeszcze nie finał sprawy, bo wciąż czeka nas dokończenie sprawy lokali użytkowych oraz hali garażowej - opowiada Podbielski.

Ludzie zaufali

Zakończenie budowy to była tytaniczna praca i nie chodzi tu o czysto budowlane zawiłości. To ogrom papierologii. Trzeba było dotrzeć do właściciela każdego mieszkania w Lusatii. Nie wszyscy są z Żar, to osoby mieszkające w Szczecinie czy Przemyślu, a nawet Austrii. Należało zebrać informacje o tym, kto co kupił i za ile, jakie kwoty musi dopłacić.

- Dotarłem do każdego, zrobiłem spis i zaczęliśmy w grupie siedmioosobowej, wraz z ludźmi z doświadczeniem budowlanym, przygotowywać projekt dokończenia tego bloku. Ciężko to opisać w kilku słowach, bo to był bardzo długi proces. Fakty są takie, że 91 właścicieli nam zaufało i zebraliśmy ponad 5 milionów złotych i udało się. Warto podkreślić, że deweloper współpracował z nami, podpisał pełnomocnictwa i budowę zakończono - dodaje P. Podbielski.

Prace wznowiono w sierpniu 2025 roku, zakończono

w marcu. Zanim jednak 91 rodzin odebrało akty notarialne, trzeba było wykonać kolejną pracę z dokumentami. P. Podbielski przyznaje, że trwało to długo, a czas naglił, bo wszystkim zależało na tym, żeby powstająca wspólnota nie rozpoczynała swojej działalności od długów. 13 kwietnia rozpoczęto podpisywanie aktów notarialnych, uporano się z tym w miesiąc.

Dziwny sen

Dziś z kluczami w rękach powoli wprowadzają się do swoich mieszkań. Jest w nich tyle radości, że w sobotę 30 maja zorganizowali oficjalne otwarcie bloku. Były dwa torty, mnóstwo ciast, grill i zimne piwko. Bo jest co świętować. Wszyscy podkreślają jedną rzecz. Jak niesamowite jest to, że udało się zebrać wszystkich właścicieli, którzy mieli jeden, wspólny cel. Śmieją się, że są trochę jak lokatorzy z serialu „Alternatywy 4”. Dziś w czasach, gdy w jednej klatce schodowej sąsiedzi często nie mówią sobie „dzień dobry”, w bloku Lusatia raczej nikt nie pozostanie anonimowy.

Anna Siewior ma już pierwszą noc w nowym mieszkaniu z siołą. Pytamy, co się jej przyśniło, a ona się śmieje.



...dzięki którym wszystko zakończyło się happy endem

- To bardzo dziwny sen, bo śniła mi się caryca Katarzyna, tajga, w której był budowany jakiś gród i ona przyjechała na sianach oglądać tę budowę. Nie wiem, skąd tak absurdalny sen, aż opowiadałam go członkom zarządu - mówi ze śmiechem i podkreśla: - Czuję ogromną ulgę, że to wszystko nie zostało zlamowane, że te pieniądze nie zostały stracone, bo gdyby doszło do upadłości dewelopera, zostalibyśmy z niczym. Świątko pojawiło się w styczniu ubiegłego roku - nadzieja, że wyjdziemy na prostą, ale do końca żyliśmy w napięciu. My staliśmy się realnie wspólnotą, zanim ona powstała formalnie. Cudem jest to, że udało nam się dogadać, zjednoczyć, zaufać, wpłacić dodatkowe środki. Bo przecież, gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania, a mieszkań jest 91. To, co zrobili panowie Podbielscy i pan Mikołajczyk, to jest mistrzostwo. Jako liderzy poprowadzili naszą grupę do celu i za to jesteśmy im wdzięczni.

Mieszkańcy są tak bardzo wdzięczni, że Piotr Mikołajczyk ma nawet plac swojego imienia przed blokiem.

Gruba kreska

Tomasz Polak miał wraz z żoną wprowadzić się do no-

wego mieszkania tuż przed narodzinami pierwszego dziecka. Za miesiąc powitają drugie.

- Pierwsze dziecko miało się wprowadzić, nie udało się, ale już z drugim się uda, bo wprowadzamy się za dwa, trzy tygodnie. Mieszkaliśmy do tej pory w mieszkaniu wynajmowanym, na szczęście nie braliśmy kredytu ponad nasze możliwości, jakoś to udźwignęliśmy. Teraz odcinamy grubą kreską to, co było - mówi.

- Jestem spełniony. Coś, co wydawało się niemożliwe, jednak się wydarzyło - mówi Ludwik Podbielski, który był ogromnym wsparciem dla mieszkańców i odebrał od nich symboliczny klucz do bloku. - Duża determinacja i pomoc życzliwych ludzi, bo bez wsparcia wielu osób by się nie udało. Pomogli urzędnicy, pani burmistrz, sanepid, strażacy, Powiatowa Inspekcja Nadzoru Budowlanego, wszystkie służby nas wspierały. Przejęliśmy tę budowę bez projektów, pomógł nam Andrzej Wesoły, który wiele rzeczy wyprostował. Cieszę się, bo cieszą się ludzie. Gdyby nie dobra wola dewelopera, to nie byłoby czego świętować. On zrozumiał, że albo będzie działać z nami i będzie miał spokój, albo nie zrobi tego wcale i straci kompletnie zaufanie.

PULS

#219



Generacja zrób to sam.

Słuchajcie, mam taką teorię - gdyby jutro na dobre wyłączyli internet, prąd i zamknęli wszystkie sklepy, najlepiej z tą apokalipsą poradziłoby sobie pokolenie X. No bo kto inny? Zetki bez technologii mogłyby być bardzo zagubione. Większość mileniśców też miałaby problem ze zbudowaniem szafasu bez instrukcji na YouTube. Boomersi skrzyknęliby się w grupę i dzielnie znosili trudne warunki. Ale prawdziwymi mistrzami przetrwania i jedyną szansą ludzkości na odbudowę cywilizacji byłoby pokolenie X. Oni są jak MacGyver. Ze spinacza i gumy do żucia zbudują wynalazki ratujące życie" - zaczyna swój felieton Anna Szlęzak, psycho-terapeutka. I dodaje, że „pokolenie X to ludzie, którzy przetrwali stan wojenny, hiperinflację, trzy bańki spekulacyjne i przejście z faksu na Slacka. To psychologiczny ultramaraton, który od czterdziestu lat nie pozwala im zwolnić, odpocząć i poczuć się w pełni bezpiecznie”.

Pokolenie X to ludzie urodzeni w latach 1965-1980. Rozbieżność niby duża, bo jedni to już dziadkowie, inni wciąż wychowują własne dzieci, ale pewne cechy mają wspólne. Twardzi musieli być od dzieciństwa.

Z kluczem na szyi

Wojtek, rocznik 71., informatyk. Dorastał na Śląsku, rodzice przyjechali tu w poszukiwaniu pracy i lepszej przyszłości. Jakie ma pierwsze skojarzenie z dzieciństwa? Klucz na szyi i młodszy brat uwieszony u nogi.

- W sumie to miałem fajne dzieciństwo! - tak zaczyna.

Rodzice pracowali na poranne zmiany, od godz. 7.00 do 15.00, ale jakąś godzinę zajmował im powrót do domu. Rano mama zaprowadzała Adama, młodszego brata, do przedszkola, on do szkoły maszerował sam. Z kluczem na szyi, jak większość kolegów i koleżanek z klasy. W szkole jadł obiady, drugie śniadanie przynosił ze sobą.

- Wracałem do domu i czekałem na brata, przyprowadzała go zaprzyjaźniona sąsiadka, która chodziła do przedszkola po swoją córkę. Nie pracowała, mąż był górnikiem, więc mogła sobie na to pozwolić. Po przyjściu Adama robiłem nam kanapki, potem odrabiałem lekcje, a brat się bawił - wspomina.

Dość szybko pojął, ale i Adam też, że im sprawniej działają, tym więcej czasu spędzą z kolegami. Nauczył się kroić chleb, kłaść na niego co tam było w lodówce. Odrabiał lekcje starannie, ale co chwila zerkał na zegarek. Adam wiedział, że nie ma co marudzić i przeskadać, bo wtedy be-

W dzieciństwie nosili klucz na szyi i nauczyli się, że najlepiej liczyć na siebie. Przetrwali stan wojenny, hiperinflację, transformację, trzy bańki spekulacyjne i rewolucję technologiczną. Dzisiaj to oni wciąż napędzają światową gospodarkę, chociaż dla tego świata stali się „niewidzialni”

Dorota Kowalska



Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu, sprawia, że lksy często zostają w pracy po godzinach, są przemęczeni

POKOLENIE X. TWARDZIELE, O KTÓRYCH TROCHĘ ZAPOMNIAŁ ŚWIAT

dzie siedział w domu, więc jak to mówi Wojtek, „młody współpracował”.

- Rodzice z pracy zawsze wracali zmęczeni. Pytali, jak tam w szkole, czy odrabiałem lekcje, czy nie jesteśmy głodni, Adama, co było na obiad w przedszkolu - wspomina.

Odpowiedzi szły z automatu: „W szkole dobrze”, „Tak, odrabiałem lekcje”, „Nie, nie jesteśmy głodni. Zrobiłem kanapki”. Adam potakiwał i dodawał, że obiad w przedszkolu był smaczny, z nikim

się nie pobił i pani go pochwałała. Po tym błyskawicznym zdaniu relacji z dnia następowo było rytualne: „To możemy iść na dwór?”.

- I mama zazwyczaj kiwała potakująco głową. Dzisiaj myślę, że była w tym potakiwaniu także ulga, rodzice mogli wreszcie odpocząć - śmieje się Wojtek.

Na podwórku koledzy czekali na nich już od godziny 15. Była gra w piłkę na pobliskim boisku, czyli wykoszzonej polanie, wrotki, które on dostał na

gwiazdkę jako pierwszy na osiedlu, był trzepak, zabawy w chowanego. Adam był z nim albo ze swoimi kolegami. Wszyscy trzymali się razem. Do domu musieli wrócić do godziny 19.

- Wiedziałem, że muszę radzić sobie sam. Nie było telefonów, nie było Google'a. Jak coś się stało, mogłem co najwyżej pobiec do sąsiadki. Nie widziałem w tym żadnego heroizmu, wszyscy moi koledzy tak funkcjonowali - wzrusza ramionami Wojtek.

Rodzice, owszem, byli obok, troszczyli się, kochali, ale nie było wylewności, okazania uczuć, przytulania. Uczyli go samodzielności, a właściwie samodzielności uczyło go życie. Tata pokazywał mu, jak dbać o wrotki, jak nasmarować łańcuch w rowerze, nawet dziurę w piłce sami zakleili łątą. Długo nią już nie pograł, ale starczyło na jakiś czas.

Jako dorosły mężczyzna trzy razy wyremontował mieszkanie, naprawia w domu

wszystkie sprzęty, do fachowców dzwoni tylko wtedy, kiedy wie, że z problemem sobie nie poradzi. Inni jego znajomi też tak mają.

- Mówiąc szczerze, z rozrównieniem wspominam tamte czasy. Było trudniej, biedniej, ale dorastaliśmy razem, w grupie. Nie było komputerów, musieliśmy sami wymyślać zabawy, organizować sobie czas - mówi.

Tak, czuje się przez to twardszy, odporniejszy, bardziej zaradny, chociaż pewnie z dzisiejszej perspektywy ktoś powiedziałby, że był dzieckiem niezaopiekowanym. Nie odbiera tak tego. Takie były czasy, tak funkcjonowała większość dzieciaków w jego dzielnicy. No chyba że ktoś miał blisko dziadków, ale zazwyczaj jeździło się do nich na wakacje. Rodzice kolegów, tak jak jego, przyjechali na Śląsk, nie mieli tu rodziny. Musieli sobie radzić bez jej wsparcia, ich dzieci - czyli oni - także. Więc zawsze było przedszkole, potem szkoła i najlepiej studia. Rodzice cały czas im powtarzali, że mają się uczyć, bo jak się już wykształca, czeka na nich praca, a jak będą pracować, z czasem kupią pierwsze mieszkanie, samochód, pojadą na wakacje.

- W czasach mojego dzieciństwa świat wydawał się uporządkowany. Wszyscy mieli po tyle samo, raczej mało niż dużo, ścieżka życiowa też wydawała się jasno określona - opowiada Wojtek. Skończył szkołę, potem studia, i ani jednego dnia nie przepracował w wyuczonym zawodzie.

Nowe czasy, nowe wyzwania

„Pokolenie X nie miało łatwego w życiu, i to nie tylko ze względu na wymagające dzieciństwo. Świat na wejściu obiecał względną stabilność i przewidywalność tylko po to, żeby potem ci ludzie musieli patrzeć, jak co kilkanaście lat kompletnie staje na głowie. Od dziecka słyszeli, że jeśli będą ciężko pracować i trzymać się zasad, to wszystko się ułoży. A potem zasady zmieniły się na ich oczach praktycznie co chwilę” - mówi Anna Szlęzak. I dodaje, że „kiedy lksy wchodziły na rynek pracy, w Polsce skończył się komunizm i rozpoczął trudny okres transformacji. Z jednej strony oznaczało to nowe możliwości, z drugiej niepewność zatrudnienia, drastyczne reformy i ogromne bezrobocie. Na oczach lksów walił się stary porządek i w niepełnym chaosie rodził się nowy”.

No tak, dość szybko okazało się, że trzeba się przebrnąć albo w ogóle szukać pracy w zupełnie innym niż wyuczonym zawodzie. Do tego, kiedy już wydało się, że lksy oparowały rzeczywistość, pojawiły się komputery, internet

- i znowu musieli się w tym wszystkim odnaleźć.

Anna, rocznik 67. Skończyła studia, ale jakoś nie wyobrażała sobie pracy w szkole, a mogła w niej uczyć języka polskiego. Dużo dzieci, hałas, pensja taka sobie. Chciała pisać. To był świetny czas dla dziennikarstwa, otwierały się nowe redakcje: szukano młodych, zdolnych, pełnych pasji. Poszła do jednej z nich. Redaktor naczelny kazał jej napisać dwa teksty, to zobacz, czy się nadaje.

- Napisałam, przyniosłam. Pozwolono mi zostać miesiąc na okresie próbnym. Po tym czasie dostałam umowę; na początku płacono mi za ilość napisanych artykułów, ale pisałam ich tak dużo, że w pewnym momencie szefostwo doszło chyba do wniosku, że taniej będzie, jak dadzą mi umowę o pracę - wybucha śmiechem.

Bo pracowała, wszyscy tak pracowali, jak opętana. Od rana do późnej nocy. Spotkali się w redakcji około godz. 8.00, szef rozdelał tematy, wcześniej poranny dyżurant obdzwaniał policję, straż pożarną, urzędy, żeby zorientować się, co się dzieje w regionie. Nie było internetu, nie było całodobowej telewizji. Każdy temat trzeba było wyszarpać, wychodzić. Po kolegium jechali w teren. Potem wracali do redakcji, pisali tekst i gadali godzinami przy kawie.

Wychodzili z redakcji około 22.00. Szaleństwo! Nie dlatego, że musieli. Chcieli. Szybko wciągnęła ją ta robota: wyjazdy, rozmowy z ludźmi i tekst podpisany jej nazwiskiem. Miała poczucie misji? Wzrusza ramionami.

- Nie wiem, po prostu lubiłam to, co robię. I miałam wrażenie, że to coś ważnego. Wtedy gazety sprzedawały się w setkach tysięcy egzemplarzy, ludzie nas czytali, pisali do nas - tak odpowiada. - To był dziwny czas, trudny, ale też dający wiele możliwości. Z mojej klasy z liceum wszyscy poszli na studia. Potem w większości próbowali się odnaleźć w nowej rzeczywistości, bo wchodziliśmy na rynek pracy w czasach transformacji - opowiada.

Spogląda na klasowe zdjęcie z liceum. Ewa skończyła romanistkę, pojechała do Paryża, zrobiła tam studia podyplomowe, wróciła do Polski i natychmiast dostała pracę we francuskim koncernie, który wchodził właśnie na rynek Europy Środkowej i Wschodniej. Ona też pracowała od rana do późnej nocy.

Marek - mieli w liceum rozszerzony język francuski, od szkoły podstawowej uczyli się języka rosyjskiego; też załapał się w jakiejś zachodniej korporacji. Ela, jak tylko było można, wyjechała do Anglii. Monika uczy w szkole, Aska kilka lat

po studiach otworzyła własny biznes. Każdy jakoś sobie poradził.

Kuba - pokazuje na zdjęciu chłopaka z bujną czupryną - w pewnym momencie się przebranżowił. Zawsze był dobry z przedmiotów ścisłych. Zaczynał jako nauczyciel matematyki, dzisiaj prowadzi firmę informatyczną. Tak, musieli się cały czas uczyć, dostosowywać do zmian, a świat pędził w zaskakującym tempie.

- Kiedy zaczynałam, pracowaliśmy na starych Macintoshach, a kierowca woził co wieczór do drukarni makiety stron - wybucha śmiechem. - Dzisiaj wszystko jest zautomatyzowane, większość dziennikarzy pracuje z domów i łączy się z redakcją na Teamsach - dodaje.

Brakuje jej tamtych redakcji? Tamtej atmosfery? Na pewno tak.

Nastawieni na pracę

Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu - transformację, prawdziwy skok technologiczny - sprawia, że Ikсы często zostają w pracy po godzinach, wielu z nich to pracoholicy; potwierdzają to zresztą badania. Blisko co trzeci badany Polak deklaruje, że pracuje więcej niż 40 godzin tygodniowo - wynika z raportu „Polki i przedsiębiorczość 2024: Dynamika czasu pracy”. Wśród przedsiębiorczyń ten odsetek wynosi z kolei aż 42 proc. Najwięcej pracują osoby z pokolenia X - aż 43 proc. z nich ponad 40 godzin tygodniowo.

Przedstawiciele pokolenia X często spędzają w jednej firmie wiele lat i mocno się z nią identyfikują. Uważają też, że samo miejsce pracy czy zawód, który wykonują, jeśli te cieszą się wystarczającym szacunkiem, są już swego rodzaju nagrodą, dla której można czasami pocierpieć: zostać dłużej w pracy, przemiłować brak podwyżki czy premii, machnąć ręką na fanaberie szefa. Ikсы są odpowiedzialne, efektywne i lojalne wobec pracodawcy.

Cenią sobie stabilizację, ważna jest również dla nich godziwa pensja. Utrzymują rodziny, często pomagają też rodzicom albo dorosłym już dzieciom. Także z tego powodu cenią sobie przewidywalność. Dla nich zmiana pracy to ostateczność - kojarzy im się wyłączenie ze stresu, brakiem stabilności. Więc, mówiąc szczerze, harują jak woły, żeby było „po staremu”, żeby nic się nie zmieniło.

„Być może trochę licząc na to, że uchroni ich to przed kolejną katastrofą albo przynajmniej pozwoli odłożyć wystarczająco dużo pieniędzy, żeby przetrwać kolejny kryzys. Życie nauczyło ich, że zawsze muszą być przygotowani na najgorsze i że nieważne, jak bardzo dążą do stabilności,

świat i tak pewnie znowu zrobi im jakiegoś bolesnego psikusa, nawet kiedy mają nadzieję na coś dobrego. No i tak przygotowują się na wszystko, co może pójść nie tak” - mówi w swoim felietonie Anna Szlęzak.

I często idzie nie tak. Pokolenie X według danych GUS stanowi dziś 36,5 procent wszystkich pracujących w Polsce. To oni zarządzają zespołami i utrzymują ciągłość biznesową, często uchodzą za ekspertów w swoich dziedzinach. Mimo to w wielu firmach osoby między 45. a 59. rokiem życia są „niewidzialne”, Ikсы rzadziej chociażby uczestniczą w szkoleniach niż przedstawiciele innych pokoleń. Firmy wychodzą z założenia, że pracownik w tym wieku „już zrobił swoje”, więc przestają w niego inwestować.

Dane Eurostatu są jednoznaczne: Polska szybciej niż średnia unijna traci dojrzałych pracowników. Nie dlatego, że ci chcą odchodzić, ale dlatego, że systemowo są wypychani z rynku pracy.

Powód? Wszechobecne stereotypy na temat Ikсов. Chociażby ten, że to pokolenie

Przedstawicielom pokolenia X zarzuca się także wypalenie zawodowe. Tyle tylko, że cierpią na nie również przedstawiciele dużo młodszych pokoleń.

Niewidzialni dla świata

Nie tylko w pracy Ikсы stają się „niewidzialne”. Przedstawiciele generacji X, a więc współcześni czterdziestolatkowie i pięćdziesięciolatkowie, to najbardziej bogata grupa klientów. Firmy skupiają się jednak głównie na generacji Z. Zdaniem analityków z agencji mediowej Wavemaker wszystko za sprawą błędnego postrzegania Ikсов. Analitycy postanowili przyjrzeć się problemowi: przeprowadzili własne ankiety i wywiady, przeanalizowali istniejące badania. Łącznie przebadano prawie 200 tysięcy przedstawicieli pokolenia X z całego świata. Swoje spostrzeżenia eksperci opublikowali w raporcie: „Finding the Gen X Factor. Confronting marketing mishaps and bias to over-45s in social”.

Do jakich doszli wniosków? Osoby należące do generacji X reprezentują 31 procent globalnej populacji. Jeżeli jednak chodzi o badania rynkowe,

IKSY MAJĄ DOŚĆ. ŻYJĄ TROCHĘ W ROZKROKU MIĘDZY POKOLENIEM SWOICH RODZICÓW I DZIECI. ZMĘCZENI, PRZECIĄŻENI, CZĘSTO WYPALENI

analogowe. To prawda, ale szybko uczy się cyfrowych rozwiązań.

Dane OECD wskazują, że luka kompetencyjna między nimi a przedstawicielami młodszych generacji jest coraz mniejsza. I wcale nie jest tak, że Ikсы nie lubią zmian. Nowego boją się wszyscy albo prawie wszyscy. Są za to przyzwyczajeni do tego, że w życiu trzeba sobie radzić, sporo przeżyli, więc szybko adoptują się do nowych sytuacji.

Pokolenie X wie, jak działa Facebook, ogląda YouTube'a, jest na WhatsAppie, ale korzysta z nich i możliwości, jakie niesie rozwój nowych technologii, kiedy tego potrzebuje. Robi zakupy przez internet, płaci przez niego rachunki, ale nie daje się wciągnąć przez wirtualny świat.

I wcale nie jest tak, że przedstawiciele pokolenia X nie potrafią pracować w zespołach, bo to kolejny mit na ich temat; ich niezależność nie wynika z braku ducha współpracy. Badania Deloitte nad współpracą międzypokoleniową pokazują, że różnorodność doświadczeń sprzyja efektywności zespołów, a pokolenie X często naturalnie pełni rolę pomostu między stylami pracy młodszych i starszych pracowników.

grupa ta jest mocno niedoreprezentowana i w raportach stanowi jedynie cztery procent respondentów. Firmy z różnych branż z jakiegoś powodu straciły zainteresowanie pokoleniem X. Dlaczego? Zdaniem autorów raportu, twórcy marek i reklamodawcy nie doceniają kompetencji Ikсов w kwestii użycia takich nowszych platform społecznościowych, jak TikTok czy Snapchat, uważają, że ci nie korzystają z mediów społecznościowych tak samo jak młodsze pokolenia. Nic bardziej mylnego! Okazuje się, że aż 92 procent przedstawicieli generacji X korzysta z social mediów każdego dnia. Co ważne, korzysta z nich bardziej świadomie niż pokolenie Z.

Ikсы reprezentują prawie jedną trzecią użytkowników TikToka, są też najszybciej rosnącą grupą osób korzystających z tej platformy. Tymczasem, jak wynika z analiz ekspertów z Wavemakera, zaledwie pięć procent marek tworzy swoje kampanie reklamowe z udziałem influencerów, skierowanych do klientów z tego pokolenia. Z ankiet i wywiadów, które przeprowadzono z osobami należącymi do pokolenia X, wynika, że jedynie 13 procent z nich ma poczucie,

że są adresatami reklam w mediach społecznościowych.

W kanapce

Ci twardziele, o których trochę zapomniał świat, nigdy nie mieli w życiu lekko i wygląda na to, że to się nie zmieni.

„Z jednej strony albo własnie wychowują dzieci, albo nadal pomagają swoim niby dorosłym, ale wciąż niestabilizowanym pociechom z pokolenia milenialsów czy zetek. A z drugiej strony muszą się już opiekować swoimi nieuchronnie starzejącymi się rodzicami. Wciśnięci jak ser w kanapce między dwa inne pokolenia, które potrzebują ich wsparcia. Ikсы dają z siebie wszystko, ale są też coraz bardziej przeciążone. A jeśli dodać do tego ich charakterystyczną postawę Zosi Samosi, nieumiejętność przyjmowania wsparcia, to ich sytuacja robi się naprawdę poważna” - mówi psychoterapeutka Anna Szlęzak. I dodaje, „że Ikсы są trochę jak ten pies z mema siedzący w płonącym pokoju i powtarzający, że wszystko jest w porządku”.

Agnieszka, rocznik 76. Trzy lata temu kupili z dziećmi dom. Rodzina to ich córka Gosia, jej mąż i dwoje małych wnuków. Zajmują górne piętro, oni mieszkają na parterze.

- Wciąż pracuję zawodowo, mąż też. Kiedy wracamy do domu, wnuki już na nas czekają. Widzą nasz samochód przez okno i momentalnie są na dole - opowiada. Pewnie, że się cieszy. Za Anielę i Antosia dałaby się pokroić. Ale, umówmy się, czasami czuje się zmęczona.

- Zostajemy często z wnukami, jak młodzi wychodzą. Bierzymy je ze sobą na wakacje. Są jeszcze małe, trzeba się naprawdę sprężyć, żeby za nimi nadążyć - przyznaje. Czasami mówi: dość. Wyjeżdżają z mężem na weekend albo po prostu udają, że ich nie ma.

- Oprócz pracy, własnego domu, córki mam też tatę na głowie - mówi.

Tata mieszka sam 20 kilometrów od nich. Jeździ do niego raz w tygodniu, najczęściej w soboty rano. Sprząta mu mieszkanie i gotuje na cały tydzień.

- On sam co najwyżej zrobi herbatę, usmaży jajecznicę, przygotuje sobie kanapkę. Zawsze to mama gotowała i sprzątała, więc kiedy odeszła, nagle okazało się, że muszę ją zastąpić - wzdycha. Proponowała tacie zatrudnienie jakieś kobiety do pomocy. Nie zgodził się. „Sam sobie poradzę” - usłyszała. Wiadomo, że sobie nie poradzi.

Musi też ojca wozić na wizyty do lekarzy, sprawdzać, czy przyjmuje lekarstwa, czy robił wszystkie opłaty. Jednak nie skarży się.

Magda, koleżanka, jeździ do rodziców co dwa tygodnie, 130 kilometrów w jedną stronę. Żyją oboje, ale są już dobrze po osiemdziesiątce. Nagotuje, opierze, posprząta i wraca. Waldek wziął matkę do siebie - ma duży dom, wygospodarował dla niej pokój. Podobnie zrobiła Marta ze swoim tatą.

„The Economist” pisze tak: „Mają na głowie coraz starszych rodziców i własne dzieci. Nie zrobili zawrotnej kariery. Często nie dorobili się nawet własnego domu, nie wspominając o okazałym majątku. Są coraz starsi, zaczynają podupadać na zdrowiu, a wiele wskazuje na to, że poczną początek upadku systemu emerytalnego na własnej skórze. Oto pokolenie X - najbardziej zapomnianych i rozczarowanych życiowo osób. Ostatnie badanie przeprowadzone przez Ipsos w 30 krajach pokazuje, że 31 proc. pokolenia X twierdzi, że jest „niezbyt szczęśliwe” lub „w ogóle nie jest szczęśliwe”, co stanowi najwyższy odsetek spośród wszystkich pokoleń. David Blanchflower z Dartmouth College odkrył, że wszelkiego rodzaju negatywne emocje - od nieszczęścia, przez niepokój, po rozpacz - osiągał szczyt w wieku około 50 lat.

Ikсы mają dość. Żyją trochę w rozkroku między pokoleniem swoich rodziców i dzieci. Zmęczeni, przeciążeni, często wypaleni. I świadomi, że właściwie nie mają wyjścia. Nie proszą o pomoc, bo życie ich nauczyło, że najlepiej liczyć na siebie.

Z drugiej strony, coraz częściej - o czym pisze „The Economist” - zastanawiają się, czy było warto tak ciężko pracować, tak bardzo się poświęcać, tak przeć do przodu. Bo co właściwie dzisiaj z tego mają? Ale nawet jeśli czasami przyjdzie im do głowy taka myśl, szybko machają ręką i biegną dalej: bo urodziny wnuka, bo lekarz mamy, bo roczne sprawozdanie w pracy. Nie ma się co mazać - trzeba się wziąć w garść, bo „jak nie my, to kto?”.

Anna Szlęzak mówi tak: „Prawdziwe wzięcie się w garść to odwaga, żeby w końcu przestać być MacGyverem dla całego świata i stać się nim dla samego siebie. To moment, w którym patrzysz w lustro i przyznajesz: »Tak, ten silnik w mojej głowie zgrzyta, ale nie muszę już dłużej udawać, że wszystko jest w porządku tylko dlatego, że inni na mnie polegają«. Potraficie reanimować martwy akumulator na mrozie, ogarnąć Excela i zarządzać chaosem w domu, jakbyście byli dowódcami jednostki specjalnej. Macie tę legendarną sprawczość niemal wdrukowaną w swoje DNA, więc może czas w końcu przekierować ją także na siebie”.

AI naprawdę jest inteligentna?

Tak naprawdę to nie. Rzeczywiście jest to narzędzie, które całym swoim działaniem i zachowaniem wykazuje pozory czy też przejawy działania inteligentnego. Ale faktycznie są to jednak algorytmy. I nawet jeżeli mamy do czynienia z dużym modelem językowym, takim jak ChatGPT, to nie jest mądrość. To jest umiejętność żonglowania fragmentami wiedzy. Najpierw były to same słowa albo fragmenty zdań. W tej chwili w podobny sposób montuje się także obrazy czy inne formy przekazu. Ale to nadal jest pewnego rodzaju mechanizm, automat losujący oparty na maszynowo ustalanych prawdopodobieństwach.

W swojej książce „Sztuczna inteligencja. Od Turinga po ChatGPT” pisze Pan, że człowiek od starożytności człowiek marzył o maszynie, która by za niego myślała. Dlaczego?

Myślę, że to jest naturalne. Rozwój cywilizacji przebiegał przecież w taki sposób, że rozmaite rzeczy, które wcześniej musieliśmy robić sami, staraliśmy się przekazywać urządzeniom. Zamiast rzucać włócznie, zbudowano katapultę. Zamiast wykonywać jakąś czynność własnymi rękami, człowiek próbował wymyślić narzędzie, które zrobi to za niego. To naturalna kolej rzeczy. Skoro więc wiele czynności, które wykonujemy, próbowaliśmy przekazać maszynom, to także czynność myślenia prowokowała do tego, byśmy spróbowali oddać ją w czyjeś ręce – jeśli oczywiście można mówić o rękach w przypadku sztucznej inteligencji. Chodziło o to, by część wysiłku zdjąć z siebie i przekazać czemuś innemu – komputerowi.

Czego w takim razie uczy nas historia Szachowego Turka, którą przytacza Pan w swojej książce? Dlaczego tak łatwo dajemy oczarować się iluzji?

Jest cały szereg informacji na temat tego oszustwa, które polegało na sprawieniu wrażenia, że maszyna jest w stanie rywalizować z człowiekiem w szachy, czyli w czymś, co niewątpliwie wymaga intelektu. To był numer popisowy Wolfganga von Kempelena, który chciał się przypodobać na dworze cesarskim. Nie chodziło wyłącznie o abstrakcyjne zainteresowanie techniką czy myśleniem maszynowym. Chodziło o to, by wzmocnić jego pozycję jako konstruktora, jako twórcy. On zresztą konstruował również inne, i to bardzo pożyteczne rzeczy. Szachowy Turek był taką pokazówką: „Proszę, zobaczcie,

jaką niezwykłą rzecz wymyśliłem, a teraz martwcie się, jak zrozumieć, co ta maszyna robi”. Oczywiście, jak wiemy, w środku był ukryty szachista, który rozgrywał partię.

Czy z Chatem GPT nie jest trochę tak jak z Szachowym Turkiem? Widzimy efekt: maszyna z nami rozmawia, coś dla nas robi, ale tak naprawdę nie rozumiemy, co tam w środku się dzieje.

Tak, rzeczywiście duży model językowy, na którym oparty jest ChatGPT i inne metody generatywne, to element bardzo pogłębionej, przez głębokie uczenie, zabawy z prawdopodobieństwem. De facto na podstawie bardzo dużego zbioru danych tworzy się rozkłady prawdopodobieństwa. Robią to sieci neuronowe, a potem na podstawie tych prawdopodobieństw żongluje się gotowymi elementami. To są przecież wszystko zapożyczenia z danych, które były podstawą procesu uczenia. Żadnych własnych „przemysłań” komputera. Nie ma semantyki, jest probabilistyka. Ale na tej podstawie tworzy się coś, co ma pozory inteligentnej odpowiedzi. Ale ci, którzy korzystali z takich narzędzi, wiedząc, jak łatwą tę wypowiedź przekształcić przez zadanie innego pytania. W związku z tym ChatGPT to nie jest wyrocznia delficka, której zadawano pytanie i otrzymywano jedną odpowiedź. Tutaj można zadać to samo pytanie wielokrotnie i dostać wiele różnych odpowiedzi. A to w procesie podejmowania decyzji niekoniecznie musi pomagać.

Co więc musi się wydarzyć, żebyśmy uznali maszynę za inteligentną? Kiedyś myśłano, że wystarczy rozmowa. Rozwiązanie zadania matematycznego? Wciąż wraca też pytanie, czy sztuczna inteligencja zdolaby test Turinga, ale też czy ten test naprawdę coś rozstrzyga?

Debatą o tym, czy test Turinga coś rozstrzyga, trwa od ponad pół wieku. Alan Turing zaproponował pewien sposób sprawdzenia, przez naśladownictwo myślącego człowieka, czy maszyna rzeczywiście myśli. Zaproponował coś, co istotnie można przeprowadzić. Przypomnijmy: arbiter prowadzi dialog na dowolny temat z nieznanym rozmówcą. Jeśli po krótkiej rozmowie (około kwadransa) arbiter stwierdzi, że rozmawiał z myślącym człowiekiem, a w istocie odpowiedzi udzielał komputer, to trzeba przyznać, że maszyna wygrała test. I rzeczywiście, były systemy, które mniej więcej pół wieku

– Boję się ludzi, którzy użyją sztucznej inteligencji do tego, żeby sterować innymi ludźmi. Pytając o cokolwiek sztuczną inteligencję, odsłaniamy własne lęki, potrzeby, zainteresowania i sposób myślenia. To jest intelektualne obnażanie się – mówi prof. Ryszard Tadeusiewicz i ostrzega, że z takich danych można zbudować bardzo dokładny portret człowieka

Anita Czapryn



Prof. Tadeusiewicz: Sztuczna inteligencja potrafi sprawiać pozory inteligencji tak skutecznie, że człowiek zaczyna jej wierzyć bardziej niż powinien

PROF. RYSZARD TADEUSIEWICZ: NIE BOJĘ SIĘ BUNTU MASZYN

po sformułowaniu tej koncepcji wygrały test Turinga. To znaczy zdołały tak skutecznie oszukać jurorów, że byli oni przekonani, iż rozmawiają z mądrym, inteligentnym, bystrzym człowiekiem. A to był komputer. W tym sensie element rozstrzygnięcia przez mądrą rozmowę został spełniony. Obecnie także ChatGPT w pewnym sensie zdaje test Turinga, bo każdy, kto się do tego narzędzia odwołuje, sądzi, że gdzieś

w komputerze, w czeluściach internetu, znalazło ono dla niego odpowiedź, rozwiązanie problemu, radę czy sugestię. To są jednak rzeczy bardziej fideistyczne. Ludzie bardziej wierzą niż wiedzą. Trzeba powiedzieć jedno: wszystkie te rozwiązania mają w sobie coś z Turka von Kempelena. Bazują na tym, że my chętnie godzimy się przyjąć iluzję, która czasem z rzeczywistością niewiele ma wspólnego.

A dlaczego tak chętnie przystajemy na tę iluzję?

Dlatego że, niestety, jedną z cech człowieka jest wygodnictwo. Podejrzewam, że większość osób, z którymi mam na co dzień kontakt, miałaby dziś trudności z wykonaniem prostych działań arytmetycznych z pamięci. Od tego jest przecież kalkulator. Kilka kliknięć i mamy wynik. Przypominam sobie, że kiedy byłem uczniem szkoły średniej i chodziłem

do sklepu, co należało do moich obowiązków, bo matka chorowała, to wkładałem do koszyka różne produkty, odczytywałem ceny i w momencie gdy podchodziłem do kasy, miałem już w pamięci informację, ile zapłacić. Dokładnie to wiedziałem.

Potrafił Pan to obliczyć w pamięci?

Tak. Natomiast dzisiaj już tego nie robimy. Nawet jeżeli mamy do wykonania proste działanie, każdy sięgnie po kalkulator albo telefon: puk, puk, puk – i ma wynik. To jest jeden z bardzo wielu przykładów tego, jak się uzależniamy. Weźmy inną rzecz. Kiedyś, kiedy potrzebowałem jakiejś szczegółowej informacji, to najpierw się zastanawiałem, czy ja to pamiętam, czy ja to wiem. Jeśli nie wiedziałem, szedłem do półki z książkami, wyjmowałem właściwą książkę, odnajdywałem odpowiednią stronę, czytałem i się dowadywałem. A dzisiaj co się robi? Wystukuje się hasło w wyszukiwarce internetowej, czy to Google czy inne narzędzie wyszukiwania, i dostaje się odpowiedź. Wygodnictwo, kolejne wygodnictwo. Wobec tego te dziwne elementy sztucznej inteligencji niestety wywołują w nas uzależnienie wynikające z naszego lenistwa.

Tylko pytanie, czy sztuczna inteligencja rozumie to, co mówi...

Nie, nie rozumie. Rozumienie oznaczałoby pewną tożsamość, osobowość czy też jestestwo. Natomiast sztuczna inteligencja może jakimiś matematycznymi sposobami zmierzyć stopień trafności odpowiedzi, którą wygenerowała, i wysłała do użytkownika. To oczywiście jest ważne i przydatne. Ale elementu, który potocznie rozumiemy jako rozumienie, tam w ogóle nie ma. Rozumienie zakłada, że istnieje podmiot. A sztuczna inteligencja, we wszystkich swoich przejawach, we wszystkich programach, które istnieją i zapewne będą istniały, nie ma tej osobowości, tej tożsamości, tego poczucia, że jest ona – i cała reszta świata. Ona tego nie postrzega i nie potrzebuje. Ona ma być sprawna, a nie na przykład zachwycać się swoimi osiągnięciami. Komputer może wygrać w różne gry. Najpierw były szachy, wiadomo: Deep Blue pokonał Garry'ego Kasparowa i zapanował wielki entuzjazm, bo komputer pokonał mistrza świata. Potem była gra w go, bardziej zaawansowana, w której jednak mistrz świata, Lee Sedol, został pokonany przez program Deep Mind. I można by tak dalej wyliczać. Okazuje się

nawet, że komputery wyposażone w sztuczną inteligencję potrafią grać w grę oszustwa, czyli w pokera, i potrafią blefować. Oszukiwać też umieją lepiej niż ludzie! Ale do czego zmierzam? Otóż do tego, że te programy, te narzędzia sztucznej inteligencji coś osiągają, nawet pokonują człowieka - ale się nie cieszą. Nie ma w nich entuzjizmu. One po prostu przechodzą w stan spoczynku, zrobiwszy swoje. A „swoje” oznacza w tym przypadku wygranie, pokonanie mistrza świata w takiej czy innej grze.

I co dalej?

Człowiek, gdyby osiągnął coś takiego, odczuwałby szczęście. A sztuczna inteligencja, kiedy coś takiego osiąga, po prostu się wyłącza. Bo swoje zrobiła. Więc co miałyby robić dalej? Nie ma tam elementu emocji, osobowości, dumy, zadowolenia czy smutku. To wszystko jest w tym kontekście całkowicie abstrakcyjne. To są mechanizmy działające skutecznie, ale niekoniecznie podobnie do ludzi.

Chociaż mówi się, że AI bywa bardzo empatyczna.

Tak, ale ona po prostu została tak zaprogramowana. Ona tę empatię udaje. Równie dobrze można by zbudować agresywnego wroga w postaci sztucznej inteligencji, który obrzucałby rozmówcę inwektywami i robiłby to bardzo trafnie.

Tak już się przecież wyda- rzyło na platformie X, kiedy Chatbot Grok zaczął obrażać użytkowników. Ale chciałam zapytać o coś innego. AI nie rozumie, co mówi, ale też zmyśla, konfabuluje, czy też halucynuje. Na dodatek robi to bardzo przekonująco. Dla- czego?

Dlatego że, mówiąc najkrócej, tak została zbudowana. Rzecz polega na tym, że urządzenia typu ChatGPT i podobne mają ogromny zasób informacji, które pochodzą od ludzi. To przecież z analizy ogromnych zbiorów tekstów, ogromnych zasobów informacyjnych zbudowany jest pewien układ klocków, z takich kawałeczków. Potem działają reguły, same w sobie dość proste, które pozwalają tak poukładać te klocki, żeby wyjść naprzeciw prawdopodobnemu, przewidywanemu, antycypowanemu oczekiwaniu użytkownika, który zwrócił się do sztucznej inteligencji o jakąś odpowiedź, opinię, radę czy sugestię. To wszystko dzieje się według określonych zasad. To działa trochę tak jak prawo grawitacji: jeśli coś upuścimy, polecą w dół. Jeśli wrzucimy temat do systemu sztucznej inteligencji, przejdzie on

przez poszczególne etapy: przejrzy zasoby wiedzy, zastosuje reguły zestawiania tych klocków wiedzy i uzyska wynik końcowy. Natomiast charakterystyczne jest to, że zadając to samo pytanie dwa razy, może z jakąś drobną korektą, ale nadal pytanie na ten sam temat i prowadzące do tej samej konkluzji, można dostać zupełnie różne odpowiedzi.

To kiedy możemy sztucznej inteligencji ufać, a kiedy powinniśmy natychmiast sprawdzać jej odpowiedzi? Odpowiedź jest taka, że sprawdzać powinniśmy zawsze. Bardzo wygodne jest to, że mamy takiego komputera, informatycznego partnera. Bardzo wygodnie jest zapytać. Natomiast to nie zwalnia nas z myślenia. Jeżeli ktoś bezkrytycznie opiera się na tym, co wyświetliła mu taka czy inna aplikacja sztucznej inteligencji, popełnia poważny błąd. Trzeba oczywiście korzystać z tej możliwości, trzeba ją ewentualnie rozważyć, ale nie wolno czuć się zwolnionym z myślenia. To szczególnie dotyczy sytuacji, w których odpowiedź przekłada się na działania praktyczne. Zajmuję się inżynierią biomedyczną i podczas spotkań z lekarzami zawsze podkreślałam, że oczywiście istnieją różne systemy doradcze, różne systemy informacyjne, także te oparte na sztucznej inteligencji, i należy z nich korzystać. Natomiast kiedy już zostanie się wynik, nie trzeba go natychmiast używać. Trzeba się nad nim naprawdę bardzo dokładnie zastanowić.

To, Panie profesorze, czego Pan nigdy nie wpisuje do narzędzi AI?

Mówiąc szczerze, bardzo rzadko z nich korzystam. Jeśli już, to raczej z ciekawości, badawczej ciekawości. Natomiast jeżeli nęka mnie jakiś problem, naukowy albo nawet prywatny, osobisty, to nie sięgam po sztuczną inteligencję. Mając świadomość ograniczeń mojej własnej inteligencji, wolę jednak posłużyć się tym, co sam wymyślę, nawet jeżeli popełnię błąd, niż zdawać się na maszynę, która całkowicie beznamietnie może mnie wepchnąć w poważne kłopoty.

Moje pytanie dotyczyło też tego, czego nie powinniśmy wpisywać, kiedy oczekujemy pomocy od narzędzi AI. Mówi się na przykład o danych wrażliwych. Jakiej jest Pana stanowisko?

Oj tak, kwestia danych wrażliwych jest tutaj bardzo ważna. I w ogóle kwestia tego, co się wpisuje. Problem polega na tym, że w interne-

cie nic nie ginie. Człowiek, który wielokrotnie odwołuje się do sztucznej inteligencji i zadaje jej pytania, bardzo się przez te pytania obnaża. Wiedząc, o co pyta, czego się dopomina, do czego dąży, można stworzyć jego bardzo dokładny obraz. I mogą się znaleźć ludzie, a także instytucje, które z tego skorzystają. Zresztą już korzystają. Informacje na temat różnego rodzaju preferencji, poczynając od handlowych, a kończąc na politycznych, buduje się między innymi na podstawie tego, o co dany człowiek pytał. Nie trzeba nawet sięgać do sztucznej inteligencji. Wystarczy mieć odpowiednią statystykę tego, czego ktoś szuka w Google. I już powstaje pewnego rodzaju fotografia osobowości. A taka fotografia może posłużyć do osiągania różnych celów, choćby związanych z polityką, wyborami, różnymi rozstrzygnięciami społecznymi. Każdemu można wtedy podsunąć takie argumenty, które do niego przemówią najbardziej. A o tym, które argumenty będą przemawiające, dowiedzą się algorytmy, jeśli wystarczająco dokładnie opracują analitycznie i statystycznie to, o co człowiek pytał, czego szukał, na czym się zatrzymywał, jakie strony go interesowały. To jest takie intelektualne obnażanie się, które w tej chwili ma już charakter powszechny.

Jakie mogą być negatywne skutki tego obnażania się?

Obawiam się, że one już są. Podczas różnego rodzaju wyborów, nawet wyborów prezydenta Stanów Zjednoczonych, można wykorzystywać informacje zgromadzone w szeroko rozumianych systemach internetowych, zaczynając od Google, przez TikToka i inne tego typu narzędzia. Można to zgromadzić w całkiem zgrabny pakiet, a metody automatycznej klasyfikacji i kategoryzacji pozwalają przypisać ludziom określone identyfikatory. Ten jest konserwatywny, tamten ofensywny, a ten z kolei zachowawczy. To jest oddawanie swojej osobowości pod młyn urządzenia, które co prawda nam służą, ale nie za darmo. Jest takie znane powiedzenie: jeśli korzystasz z Google i czegoś tam szukasz, to nie sądz, że jesteś rybą. Jesteś przynętą. Owszem, dostaniesz wartościowe odpowiedzi, ale przy okazji wypowiadaleś się z tego, kim jesteś.

W szkole powinno się walczyć z ChatGPT czy uczyć uczniów, jak mądrze z niego korzystać? A jeśli mądrze, to jak?

Zdecydowanie ta druga możliwość jest właściwa. Zakazany owoc będzie jeszcze bardziej kusił, więc metodą zakazów i nakazów niczego się nie wskóra. Stworzy się tylko swego rodzaju podziemie intelektualne, pewien obszar, nad którym nie będziemy panować i którego nie będziemy kontrolować. Natomiast ja moich studentów, a także moje wnuczki, które są w szkole podstawowej, staram się nauczyć jednego: owszem, korzystaj, ale myśl. To, co wyjdzie ci na ekraniku, najczęściej w telefonie, jest czymś, co warto wziąć pod uwagę. Ale tylko wziąć pod uwagę. Kiedy cho- dzimy, też mamy szeroko otwarte oczy, chociaż czasem ulegamy złudzeniom optycznym albo widzimy coś nie tak, jak to wygląda na- prawdę. Wystarczy, że jadąc samochodem, mam światło z przeciwka i mogę czegoś nie zauważyć. Ale to nie znaczy, że trzeba zamknąć oczy. Nawet wiedząc, że te oczy mogą kłamać. To znaczy, że trzeba być krytycznym wobec tego, co dostarczają nam nasze zmysły - ale z nich intensywnie korzystać. Tak samo trzeba być krytycznym wobec tego, co serwuje nam sztuczna inteligencja, a także różne serwisy społecznościowe i narzędzia informacyjne. To jest pewien system. Tylko cała rzecz polega na tym, żeby te narzędzia były w naszych rękach, a nie my w ich rękach. To jest kwestia tego, kto tu naprawdę jest początkiem, końcem i elementem decydującym. Zasięg informacji warto. Natomiast sposób jej wykorzystania zależy już od naszej decyzji, naszej mądrości i krytycznego podejścia. Najgorsze jest to, że wszystkie te systemy są bardzo podatne na różnego rodzaju manipulacje. W związku z tym istnieje obawa, że opierając się na tym, co, w cudzysłowie, „powiedział mi komputer” albo „doradził mi komputer”, tak naprawdę mamy do czynienia z tubą, która przenosi czyjeś informacje, czyjeś preferencje, czyjeś wybory. Nie obawiam się więc samej sztucznej inteligencji. Obawiam się ludzi, którzy wykorzystują ją do tego, żeby sterować innymi ludźmi.

Istnieje pogląd, że sztuczna inteligencja cały czas się uczy i dzięki temu, że dostaje mnóstwo nowych informacji, jest coraz lepsza. Dokąd nas to zaprowadzi?

Wie pani, doskonalenie się zawsze jest czymś dobrym. Najbardziej krytyczny moment pojawia się wtedy, kiedy już powstaje nowa jakość, a my jeszcze nie nauczyliśmy się mądrze z niej korzystać. Kiedy powstawały

pierwsze samochody, było bardzo dużo wypadków. Głównie dlatego, że mieliśmy już możliwość szybkiego i sprawnego przemieszczania się, ale jeszcze nie mieliśmy wyrobionych nawyków, które gwarantowałyby, że możemy to robić bezpiecznie. Z AI jest podobnie. Już mamy coś nowego, ale jeszcze nie do końca wiemy, jak tego używać, czego się wystrzegać i czemu przeciwdziałać. Jestem jednak generalnie zdania, że to zmierza ku dobremu. Tylko to dobro nie polega wyłącznie na tym, żeby algorytmy były coraz lepsze. Chodzi także o to, żeby ludzie mieli coraz bardziej racjonalny i niebezkrytyczny stosunek do tego, co wyskakuje im z różnych aplikacji GPT, GPS czy jakichkolwiek innych.

Co Pan myśli o polskiej sztucznej inteligencji, czyli o Bieliku?

Oczywiście zapoznałem się z tym rozwiązaniem. Wydaje się, że jest profesjonalne i dobre. Zrobili je ludzie, którzy znają się na rzeczy, i jestem pełen uznania oraz szacunku dla tych, którzy za nim stoją. To są naprawdę mądrzy i dobrzy profesjonalści. Natomiast wiedza i mądrość nie mają narodowości. Trzeba korzystać z tego, co nasze własne uwarunkowania gospodarcze, polityczne czy nawet psychologiczne determinują, ale nie można się w tym zamykać. Świat jest dzisiaj otwarty. W każdej chwili mogę nawiązać kontakt z moimi uczniami, którzy pracują akurat w Australii i tam robią kariery. Świat jest mały. Przynajmniej w sensie intelektualnym przemierzanie go jest dziś bardzo łatwe. To, że coś powstaje w Polsce i jest robione pod kątem potrzeb oraz uwarunkowań polskich użytkowników, również emocjonalnych, jest bardzo pozytywne. Szkoda byłoby, gdyby wszystko dyktowali nam Amerykanie albo ktokolwiek inny. Ale z drugiej strony nie przeceniałbym tego. Mądrość jest jedna. Nie ma narodowości, ma tylko legitymację inteligencji.

Na koniec zapytam o największe zagrożenie związane z AI. Boimy się buntu maszyn. A co, Pana zdaniem, jest największym zagrożeniem sztucznej inteligencji? To, że zostanie się w ręce ludzi, którzy wykorzystują ją przeciwko innym ludziom. Absolutnie nie wierzę w żadne bunt maszyn ani w zagrożenie polegające na tym, że sztuczna inteligencja wreszcie dojdzie do wniosku, że te biologiczne twory, które wędrują po świecie, są jej tak na-

prawdę niepotrzebne, bo ona jest mądrzejsza. Że te prototypy czy wzorce białkowe można by w ogóle zniszczyć. Bo po co człowiek, skoro tak wspinała jest sztuczna inteligencja? Tego się nie boję. To jest wizja, którą na swój użytek mogą budować twórcy science fiction i filmów grozy. Można się bać dinozaurów, jak w „Jurassic Park”. Można się bać rekina. Można się bać sztucznej inteligencji. Ale to są rzeczy wymyślone. Natomiast uważam, że niebezpieczne jest coś innego: tego narzędzia można użyć zarówno dla dobra ludzi, społeczności czy jakiejś dziedziny, jak i przeciwko nim. Jak mówiłem, zajmuję się inżynierią biomedyczną, więc próbuję zaprzęgać sztuczną inteligencję do procesów związanych z tym, żeby skuteczniej chronić zdrowie ludzi i skuteczniej usuwać skutki różnych chorób. To jest cel pozytywny. Ale niestety faktem, a nie przypuszczeniem jest to, że są ludzie, którzy będą chcieli wykorzystać AI do celów niekoniecznie pozytywnych, a nawet bardzo złych. Daleko nie trzeba szukać. Weźmy wojnę. Na wojnie sztuczna inteligencja może zwiększyć skuteczność działania. Ale zwiększenie skuteczności oznacza wymordowanie większej liczby przeciwników. Tego właśnie się boję: sztucznej inteligencji bardzo profesjonalnie i skutecznie stosowanej przez ludzi, którzy wobec innych ludzi mają złe, a nawet zbrodnicze zamiary. To nie jest abstrakcja. Może być tak, że ci, którzy dążą do różnego rodzaju siłowych rozwiązań, dzięki sztucznej inteligencji albo posługując się sztuczną inteligencją, będą osiągać swoje cele skuteczniej. A ta większa skuteczność oznacza tylko jedno: przeciwników pokonanych przy użyciu sztucznej inteligencji jak to- pora będzie po prostu więcej. Żli ludzie, kierując się złymi intencjami, mogą dobrą sztuczną inteligencję uczynić zbrodniczą. I oby do tego nie doszło!

KSIAŻKA



Ryszard Tadeusiewicz, „Sztuczna inteligencja. Od Turinga po ChatGPT”, wydawnictwo RM



Tak wyglądała 22 maja Noc Otwartych Sądów w Sądzie Okręgowym w Toruniu. Na zdjęciach: symulacja posiedzenia aresztowego przygotowana przez studentów, liczna publiczność (a wśród niej też wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha)

Tuż przed Dniem Wymiaru Sprawiedliwości, 22 maja, polskie sądy chętnie otwierają swoje budynki dla lokalnych społeczności. W tym roku w tej bezsprzecznie cennej akcji wzięła udział w Polsce już setka sądów – także w Kujawsko-Pomorskiem.

Cel jest jeden – pokazać starszym i młodszym sędziom, jak wygląda życie w sądach. Sądy zapraszają serdecznie zarówno do poznawania budynków z ich ciekawą historią (wiele z nich to zabytki), jak i funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Po raz kolejny w tym roku udało się to zrobić w sposób atrakcyjny, przyciągając choćby na symulacje rozpraw i procesów – dostosowane do wieku gości – setki osób w kraju.

22 maja w sądach każdy witany jest serdecznie, panuje pełna otwartość, gościnność. Zaplanowane symulacje rozpraw startują punktualnie i toczą się sprawnie. Można zadawać pytania pracownikom sądownictwa i liczyć na fachowe i życzliwe odpowiedzi.

A jaka jest sądowa proza życia z punktu widzenia zwykłego obywatela? Niestety, ale zdecydowanie już nie taka sympatyczna...

Przychodzi obserwator do sądu i co widzi?

Fundacja Court Watch Polska rodem z Torunia od kilkunastu już lat nieprzerwanie prowadzi Obywatelski Monitoring Sądów. To już grube tysiące obserwacji i relacji. W rolę obserwatorów najczęściej wchodzi studenci – zawsze profesjonalnie przeszkoleni i przygotowani. Monitoring patrzy na rzeczy najprost-

sze, zdawałoby się, ale niezwykle ważne z punktu widzenia zwykłego człowieka. Czy rozprawy zaczynają się punktualnie? Czy są jawne dla publiczności? Czy sędziowie są uprzejmi i pomocni? Czy osoby z niepełnosprawnościami mają w sądzie problemy? Czy wyrok ogłaszany jest terminowo, a orzeczenie jest dla zwykłego człowieka zrozumiałe? To tylko przykłady obszarów, które obserwatorzy w sądach w różnych regionach Polski monitorują od lat, a potem raportują fundacji w ustandaryzowanych formularzach.

I choć z roku na rok przybywa pozytywnych obserwacji (naprawdę!), to pozostają wciąż widoczne grzechy. Ot, choćby punktualność – to pięta achillesowa Temidy. Jak

wynika z ostatniego okresu monitorowania (od 1 czerwca 2025 r. do 1 czerwca br.) tylko 50 proc. rozpraw sądowych zaczyna się punktualnie. Wyjaśnienia lub przeprosiny za opóźnienie? Padają zaledwie w 25 proc. przypadków.

Terminowe ogłoszenie wyroku, zawsze tak wyczekiwanego przez zwykłego człowieka? W 13 proc. moment ten jest odraczany. Lepiej jednak jest już obecnie z jego przekazem. W 98 proc. przypadków (880 obserwacji) wyjaśnienie orzeczenia było przekonujące, a w 97 proc. – jego uzasadnienie zrozumiałe dla wszystkich (868 obserwacji).

Nieuprzejmość i arogancja sędziego?

Noc Otwartych Sądów oznacza gościnność i serdecz-

ność dla gości. Ale codzienność na salach sądowych jest zdecydowanie trudniejsza. Przez kilkanaście lat prowadzenia Obywatelskiego Monitoringu Sądów obserwatorzy raportowali takie przypadki wielokrotnie.

„Postawa sędziego nie wzbudzała zaufania, zwracał się on do stron w sposób nieuprzejmy. Co prawda pozwolił on stronom na wypowiedzenie swoich stanowisk, jednak wypowiedziane przez niego wtrącenia były niekulturalne i miejscami lekceważące. (...) Postawa sędziego sprawiła, że po zakończeniu rozprawy byłam oburzona postępowaniem sędziego. Jego lekceważący oraz arogancki stosunek do uczestników rozprawy był nie na miejscu. Powinien on zachować neutral-

ność i zachowywać się w sposób kulturalny oraz godny poszanowania”. (Obserwacja w SO Płock, Wydział V Karny, 12.08.2022).

„Sędzia, dowiedziawszy się o mojej obecności, przerwała rozprawę, robiąc kilkuminutową przerwę. Mecenas (...) odmówiła udziału mojej osoby w rozprawie, naciskając sędzię na odrzucenie mojego udziału w sprawie. Po przerwie sędzia, powołując się na m.in. 90 kpk, dwukrotnie krzycząc na mnie, wyprosiła mnie z sali. Podczas moich dotychczasowych obserwacji nie spotkałam się z takim potraktowaniem. Jestem zażenowana całą sytuacją, a podkreślę, że byłam tam w roli osoby zaufania publicznego, nie w roli którejś ze stron postępowania – przy takiej sędzi

i „górującej” mecenas współczuję oskarżonemu, który pozostał na sali sam, bez wsparcia. Fundacja jest wsparciem, którego odmówiono oskarżonemu na starcie” (SR Zielona Góra, Wydział II Karny, 5.07.2023).

„Początkowo sąd, w mojej subiektywnej ocenie dość agresywnie i często przerywał oskarżonej w jej wyjaśnieniach. Wyraźnie okazywał zniecierpliwienie, podnosił zauważalnie głos, łapał się za głowę, przewracał oczami w odpowiedzi na wyjaśnienia oskarżonej. Kilka cytatów: „to niech pani skłeci takie zdanie, żeby dało się to zapisać”, „co pan [...] zeznał, to sąd ma w aktach, pani mówi, jak było”, „ale co?! (...) bo pani nawet nie kończy zdania!”, „z czego?!”, „ja pani zadaję pytanie, pani mówi zupełnie o czym innym”. Wszystko to w połączeniu z, w mojej wyłączenie ocenie, dość lekceważącą gestykulacją. Sąd nie był zbyt wyrozumiały dla zdenerwowanej oskarżonej. W końcu oskarżona się rozplakała... Od tamtego momentu sąd zupełnie zmienił swoje podejście. Był cierpliwy, nie podnosił już głosu. Uprzejmie prosił o wyjaśnienie, gdy oskarżona odpowiadała w sposób nieuporządkowany. Szkoda, że oskarżona musiała się rozplakać, żeby zrobiło się na tyle, na ile to możliwe, przyjemniej” (SO Warszawa, Wydział XII Karny, 14.04.2023).

To tylko trzy przykłady i to z jednego raportu (obserwacje z okresu 2022-2023 r.) – podobnych było przez lata, niestety, o wiele więcej. Uczciwie jednak trzeba podkreślić, że raporty Obywatelskiego Monitoringu Sądów zawierają też liczne pozytywne obserwacje

SĄDY OTWARTE NA ŚWIAT RAZ W ROKU. A NA CO DZIEŃ?

Raz w roku odbywa się Noc Otwartych Sądów. Wtedy, od święta, polskie sądy autentycznie otwierają się na świat – zapraszają na zwiedzanie zakamarków, rozmaite symulacje rozpraw i wtajemniczają w swoje procedury. A jaka jest codzienność? Proza życia tak sympatyczna już nie jest...

Małgorzata Oberlan

dotyczące sędziów: życziwych, kulturalnych, wyrozumiałych, a co najważniejsze – profesjonalnych.

Mimo wszystko w cytowanym tutaj raporcie jego autorzy odnotować musieli, że: „Sporo relacji obserwatorów odnosi się do braku odpowiedniego przygotowania sędziów, na co wskazuje pospieszne przeglądanie akt dopiero na sali sądowej, zadawanie pytań wskazujących na niewystarczające rozeznanie w prowadzonej sprawie czy odraczanie jej do czasu zapoznania się z kluczowymi informacjami, co w ocenie publiczności może być postrzegane jako brak profesjonalizmu i szacunku dla stron, które musiały danego dnia stawić się w sądzie. Rzecz jasna, niekiedy opinia wolontariuszy może wynikać z subiektywnych odczuć, niemniej z pewnością obniża ich zaufanie do sądów. Sarkastyczne uwagi, podnoszenie głosu czy nieodpowiedni ton, jakim sąd zwraca się do zebranych, świadczą natomiast o niskiej kulturze osobistej lub rażącej nieumiejętności zapewnienia nad emocjami i zastręgnięciem na potęgę”.

Polowa Polaków nie ufa sądom. I chodzi nie tylko o politykę

Zaufanie przeciętnego Polaka do wymiaru sprawiedliwości spadło do poziomu alarmującego. Trudno, żeby było inaczej, skoro pewne jego zmyły ciągną się od lat – choćby przewlekłość postępowań – a kolejne ekipy rządzące zamiast skutecznie reformować system, pogłębiają tylko chaos.

Tak to odbiera przeciętny Kowalski czy Nowak, dla którego polityczne boje w sądownictwie już dawno stały się niezrozumiałe. Napęcia, podchody i jawne bitwy o kształt jego poszczególnych izb oraz status sędziów (neo- i „prawdziwych”) niespecjalnie go interesują. W sądzie chce zażyczyć, by jego życiowa sprawa (rozwód, kredyt fran-



Noc Otwartych Sądów w Sądzie Okręgowym w Toruniu

kowy, podział majątku etc.) potoczyła się sprawnie.

36,1 proc. – tyle zaledwie rodaków jesienią ub. roku zadeklarowało zaufanie do sądów (sondaż IBRIS dla Rzeczypospolitej). I był to rekordowo niski odsetek. Respondentów „zdecydowanie ufających” było tylko nieco ponad 2 procent.

– W ubiegłym roku odpowiedziało w ten sposób 5,3 proc. respondentów, nie wspominając już o tym, że w 2016 r. Temidzie zdecydowanie ufało 12,9 proc. Polaków. Jednocześnie w ciągu ostatniego roku aż o 10,1 pkt proc. wzrósł odsetek osób, które sądom zdecydowanie nie ufają (z 13 proc. do 23,1 proc.) – podkreślili autorzy raportu. Ekspert natomiast od razu na tę „czerwoną kartkę dla sądownictwa” zareagowali komentarzami o tym, że na odczucia badanych mógł mieć wpływ fakt, że wymiar sprawiedliwości znajduje się w centrum politycznego sporu. Zapewne tak było i jest, ale czy faktycznie to całkowicie tłumaczy tak drama-

OBYWATELSKI MONITORING SĄDÓW

W ciągu kilkunastu lat działania Fundacji Court Watch Polska już kilka tysięcy wolontariuszy wzięło udział w charakterze niezależnej publiczności w ponad 40 000 rozpraw sądowych – w różnych rejonach kraju.

Court Watch Polska rekrutuje i szkoli osoby, które chciałyby prowadzić obserwacje rozpraw w sposób systematyczny. Uczestnicy takich programów są wyposażeni w formularze, dzięki którym mogą przekazywać swoje obserwacje do celów analitycznych oraz zgłaszać uwagi dotyczące pracy obserwowanego sądu. Fundacja udostępnia narzędzia do tego, aby wykonując samemu niewielki odcinek pracy, dokładać swoją cegiełkę do ogólnopolskiego programu badania praktyki sądowej. Dzięki rozwojowi własnego systemu informatycznego zbiera dane od wolontariuszy z całej Polski za pośrednictwem Internetu. Obserwacje są wykorzystywane do przygotowywania sprawozdań i analiz, które są następnie udostępniane sądom oraz opinii publicznej. (Więcej na: www.courtwatch.pl i profilu facebookowym pod nazwą fundacji).

tyczny spadek zaufania do Temidy?

Stosunek Polaków do sądownictwa regularnie bada też CBOS. Z sondażu ostatniego (raport z 2 kwietnia br.) wynika, że w porównaniu z wcześniejszym badaniem pracowni – z września ub. r. –

wzrósł odsetek osób, które pozytywnie oceniają działalność sądów. Leciutko chociaż zatem powiało optymizmem...

Funkcjonowanie sądów dobrze oceniło 30 proc. respondentów CBOS, co stanowi wzrost o 5 pkt proc. względem wrześniowego ba-

dania. Złe zdanie na temat ich działania miało 47 proc. badanych (spadek o 1 pkt proc.), zaś odpowiedzi „trudno powiedzieć” udzieliło 24 proc. ankietowanych.

Media i Temida. Sądy rejonowe rzeczników prasowych nie mają...

Jawność i otwartość działań sądów na co dzień mają też okazję testować dziennikarze i wszyscy zainteresowani mediaworkerzy. Łatwiej im pozytywnie i przekazywać opinii publicznej informacje z sądów okręgowych niż rejonowych, a tymczasem to tych drugich jest więcej i są one bliższe lokalnym społecznościom.

Dlaczego tak jest? Tylko sądy okręgowe mają rzeczników prasowych (czasem także z asystentami). W sądach rejonowych takich stanowisk i etatów nie ma. Zadania rzeczników w całym kraju powierzono w „rejonach” prezesom tychże sądów; ewentualnie wyznaczonym przez nich wiceprezesom.

Co to oznacza w praktyce? To, że po najprostszej informacji typu „kiedy wyznaczono

rozpoczęcie procesu pana X.” można w przypadku sądu okręgowego zwrócić się telefonicznie lub mailowo do rzecznika i najczęściej szybko ją uzyskać. Ta sama krótka informacja z sądu rejonowego może iść do dziennikarza przez kilka-kilkanaście dni. Bywa, że gdy wreszcie nadejdzie, staje się już nieprzydatna (proces ruszył).

Na przykładzie Torunia i jego regulaminu udostępniania mediom informacji wygląda to tak. Za każdym razem wnioskując o informację, dziennikarz pisze maila, załączając skan legitymacji prasowej. Potem czeka na odpowiedź. Jeśli przyjdzie niewyczerpująca, prośbę o doprecyzowanie pisze mailem (załączając znów skan legitymacji). Potem czeka. I tak dalej. Podobnie sytuacja wygląda w wielu innych miejscowościach. A samo wejście na rozprawę? W „okręgu” dziennikarz zazwyczaj nie musi się anonsować. Ochronie pokazuje legitymację i informuje, jaka rozprawa go do sądu przywiodła. Potem na sali sędzia decyduje czy zezwala na rejestrację obrazu, dźwięku etc. A w „rejonie”? Procedury konkretne. „Jeśli dziennikarz chce złożyć wniosek o rejestrację przebiegu rozprawy przed terminem rozprawy, winien go złożyć na piśmie wraz z kopią ważnej legitymacji dziennikarskiej lub zaświadczeniem wystawionym przez redakcję, potwierdzającym, że dana osoba zajmuje się przygotowaniem materiałów prasowych. Wniosek winien zawierać uzasadnienie. W uzasadnieniu należy umotywić wniosek. Ponadto należy wskazać sposób rejestracji i przedmiot rejestracji. Wniosek taki winien wpłynąć do sądu najpóźniej z chwilą sprawdzenia obecności, po wywołaniu rozprawy, co wynika z art. 381 kp. Adresem wniosku jest sąd w znaczeniu składu orzekającego, który orzeka w danej sprawie. Decyzja sądu w formie postanowienia nie jest zaskarżalna” – głosi regulamin wspomnianego już SR Toruń. ©©



W oczekiwaniu na posiedzenie aresztowe – symulacja



Biuro Obsługi Interesantów przeniesione w czasie do PRL-u

KOMU BIJE DZWON W RUDZKIM MOŚCIE

Parafia musi zapłacić 30 tys. zł za zakłócanie spokoju dźwiękiem dzwonów kościelnych. Wyrok jest nieprawomocny, ale w małej miejscowości pod Tucholą budzi skrajne emocje

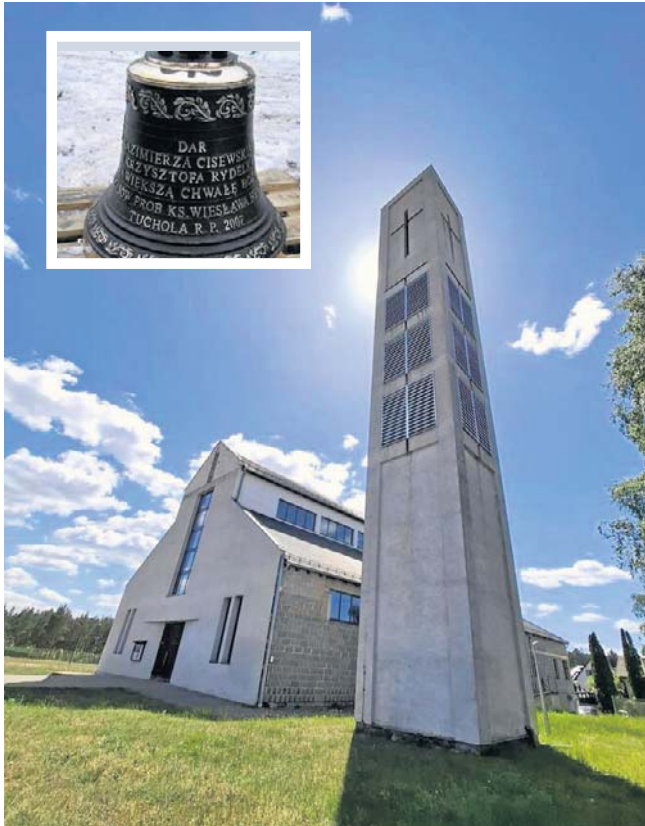
Maciej Czerniak

Osiedle domów jest sennie. Ciche podjazdy, pas szeregowców z jednej strony kościoła. Z drugiej większe, nieco willowe budynki, z perfekcyjnie utrzymaną przydomową zielenią. Ogródki osiadłe, okrzepłe, rozwinięte w sposób właściwy osiedlu, które istnieje już kilkanaście lat. Może dłużej. Żadne tam łanowe, półdzikie parcele, rozedrgane odgłosami betoniarów. Tu już „zamieszkanie” wydarzyło się.

Ludzie jeszcze w pracy, w końcu to przedpołudnie w środku tygodnia. W domu, w którym miałem nadzieję zastać mojego rozmówcę, szczeka pies. Podchodzę raz i drugi. W końcu decyduję, że zacznę od księdza. Mieszka niemal po sąsiedzku. Na tyłach kapliczki, poprzedniczki świątyni, która 12 lat temu wyrosła między ulicami Wydmową i Obrońców Polskości.

„Szczęść Boże i dzień dobry” – mówię przez zamknięte drzwi. Pytam, czy zastałem ks. proboszczą Wiesława Herolda. Słyszę, że tak, ale pada prośba, by spotkać się później i „wtedy porozmawiamy”. Ksiądz musi coś załatwić w mieście.

W Sądzie Rejonowym w Tucholi akta sprawy, jaką wytoczył parafii Opatrzności Bożej w Rudzkim Moście jeden z mieszkańców, zajmują tylko dwa tomy. W końcu sprawa to dość nieskomplikowana, choć obie strony sporu angażuje już od 10 lat. Epilog dzwonowej epopei nastąpił 22 maja. Zapadł wyrok. Sąd nakazał parafii ograniczenie „immisji dźwiękowych” przez „użytkowanie w związku z wszystkimi uroczystościami religijnymi, w tym mszami, pogrzebami, procesjami, wyłącznie najmniejszego dzwonu, maksymalnie dwa razy dziennie w dni powszednie oraz trzy razy dziennie w niedziele i święta na okres nie dłuższy niż 3 minuty”. Mało tego, dzwon i tak nie może rozbrzmieć, choćby nawet w tej sprawie nikt nie wnosził o apelację. Dlaczego? Sąd zdecydował, że najpierw trzeba zainstalować na dzwonnicy „właściwie działający mechanizm”, ogranicza-



Założenie na wieży rolet, za którymi skryły się dzwony, nie załagodziło sporu

jący czas dzwonienia do 2 minut. Dodatkowo parafia ma zapłacić skarżącemu ją mieszkańcowi Rudzkiego Mostu 30 tysięcy złotych zadośćuczynienia.

Zestaw lux w tonacji Maryjnej

Ta historia zaczyna się w 2010 roku, kiedy parafia kupuje dzwony za pieniądze подарowane 3 lata wcześniej przez dwóch parafian. O sprawie szeroko i wielokrotnie informował „Tygodnik Tucholski”. Z informacji przedstawianych przez ten tytuł wynika, że darczyńcy to „znani mieszkańcy Tucholi”. Każdy z nich przekazał na ten cel po 50 tys. zł. Jednym z ofiarujących był Kazimierz Cisewski, przewodniczący rady parafialnej, drugim przedsiębiorca Krzysztof Rydelek.

Dzwony zamówiono w renomowanym zakładzie, w Ludwisarni Felczyńskich-Taciszów – przedsiębiorstwie odlewnictwa i konserwacji działającym od 1808 r. Parafia kupiła tam zestaw lux grający w „tona-

cji Maryjnej Fis A H”. Spisowe dzwony ważą ponad 800, ponad 500 i ponad 350 kg.

W dokumencie ludwisarni, w specyfikacji dzwonów, napisano formułkę: „Żywych zwołuje, zmarłych opłakuje, bohaterów słaWi, wszystkim przypomina obowiązek względem Boga”. Rozbrzmiały dopiero w 2015 r., kiedy ukończono budowę wieży dzwonowej. Zamiast jednak nieść w świat niebiańską harmonię, podzieliły mieszkańców. Pojawiły się opinie, że dzwonią po prostu za głośno. To, że hałas był zbyt duży, potwierdziło m.in. badanie zlecone przez starostę w Tucholi. Wykonawcą tego zlecenia była firma Akutix z Poznania, a badanie wykazało przekroczenie dopuszczalnej głośności dzwonów o 17,9 db.

W 2016 r. w sprawie zaangażował się jeden z mieszkańców Rudzkiego Mostu, Waldemar Piotrowski. W czerwcu tego samego roku w Starostwie Powiatowym w Tucholi podpisano porozumienie między Piotrow-

skim a ks. Heroldem. Postanowienie było kompromisowe: na dzwonnicy miały zostać zainstalowane żaluzje, a potem duży dzwon miał być uruchamiany tylko przy wyjątkowych okazjach, podczas Świąt Wielkanocnych i na Boże Narodzenie. Porozumienie zakładało również, że parafia przeprowadzi na swój koszt pomiar hałasu, dzwony mały i średni będą używane przed każdym nabożeństwem, a średni na Anioł Pański, ale nie dłużej niż na 2 minuty.

Na tym koniec? Bynajmniej. Ostatecznie żaluzje zamontowano, ale bez odbioru budowlanego wieży. Nadzór stwierdził, że kwestie dotyczące poziomu emitowanego dźwięku nie leżą w gestii inspektorów.

– Problem w tym, że kiedy pojawiały się te rolety, to dźwięk zamiast ulec wygłuszeniu, został skierowany ukośnie w dół, prosto na domy, które znajdują się po sąsiedzku, przy kościele – mówi jedna z mieszkanek. Nie chce zdradzać swojego nazwiska. – Tu za blisko jest i zbyt wielu można by się narażać. My tu przecież mieszkamy – zaznacza.

Poza tym dzwony nie biły – jak zakładało porozumienie – tylko przez 2 minuty. Dlaczego? Ks. Wiesław Herold zarzeka się, że próbował tak ustawić mechanizm, by dźwięk rozchodził się tylko w tym konkretnie określonym czasie. – Kiedy ustawi się dzwony na 2 minuty, to tolerancja wynosi jedną minutę mniej lub więcej – tłumaczy duchowny. – Próbowaliśmy skonfigurować mechanizm, ale co się stało? Nastąpiła awaria: przepalił się elektromagnes. Naprawa była kosztowna.

– Hałas faktycznie był nie do wytrzymania, głowę rozszalało – mówi jeden z mieszkańców. – A najśmieszniejsze, że petycję o to, żeby dzwony zostały, podpisali m.in. ludzie mieszkający z dala. Słyszałem od znajomych, którzy mieszkają 3 kilometry od nas, że im to nie przeszkadza. No jasne, jak się mieszka daleko...

Urzędowa kakofonia

Od porozumienia w 2016 r. zatem niewiele się zmieniło.

Owszem, na dzwonnicy pojawiły się żaluzje, ale hałas nie zniknął. Dopiero w 2023 roku sprawa została skierowana na inne tory. Ponownie, po staraniach Waldemara Piotrowskiego, starosta zlecił badanie głośności dzwonów. Tym razem wybrana została bydgoska firma Ekosonic. Wynik różnił się od pierwszego, ale również wykazano przekroczenie dopuszczalnej normy dźwięku. O 14,6 db. Do starosty wpłynęło pismo, w którym domagano się tego, by urząd wydał decyzję o dopuszczalnym poziomie hałasu dzwonów kościelnych, starostwo jednak odmówiło wszczęcia postępowania w tej sprawie. Kolejny etap historii to odwołanie skierowane do Samorządowego Kolegium Odwoławczego, które z kolei uchyliło decyzję starosty i skierowało sprawę do ponownego rozpatrzenia.

Piotrowski nie składał bronii: zwrócił się do policji i do wojewódzkiego inspektora ochrony środowiska w Bydgoszczy. Tucholska komenda w maju 2024 r. umorzyła postępowanie. Decyzja „o niewniesieniu” sprawy do sądu zawierała stwierdzenie, że „czyń nie zawiera znamion wykroczenia z artykułu 5 par. 1 pkt 2 Kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia”.

Z kolei kontrola przeprowadzona przez bydgoskich inspektorów ochrony środowiska wykazała przekroczenia dopuszczalnego poziomu hałasu. Ostatecznie pozew do sądu złożył sam Piotrowski. Sąd Rejonowy w 2024 r. zdecydował, że konieczne będzie „zabezpieczenie roszczeń” powoda. Do czasu rozstrzygnięcia zakazał używania dzwonów w kościele w Rudzkim Moście.

Z jednej strony Watykan, z drugiej „obóz harcerski”

Proces trwał zatem w ciszy. Na jednej z rozpraw, podczas której sędzia Marcin Dobies odbierał wyjaśnienia od świadków, głos zabrał również ksiądz Herold. – Dzwony nie są hałasem – zaznaczał, powołując się również na wolności konstytucyjne. – Ja mam nakaz od Kościoła do dzwonienia na pogrzeb według prawa kanonicznego, mnie grozi wyrzucenie z parafii – dodał.

Z kolei jedna z mieszkanek zeznająca na sali rozpraw nie gryzła się w język, opisując wrażenia estetyczne, jakich doświadczała, słuchając dzwonów w parafii Opatrzności Bożej. – Najważniejsze, że te dzwony były bardzo uciążliwe – mówiła. – Ten ich dźwięk jest piskliwy, jak łyżką o gamek na obozie harcerskim. Wszędzie dzwony biją głęboko, a te w Rudzkim Moście biją przeraźliwie. Dodała, że dźwięk dzwonów z wieży kapliczki (poprzedniczki obecnego kościoła) był cichszy.

Piotrowski pisał do Diecezji Pelplińskiej, a nawet do Waty-

kanu. Stolica Apostolska jednak uznała, że nie ma podstaw, aby zakazać używać dzwonów w kościele pod Tucholą. W dokumentacji procesowej znajduje się takie stwierdzenie powoda, odnoszące się do odpowiedzi z Watykanu: „Otrzymałem informację, że używanie dzwonów kościelnych jest kultem religijnym i nie mają w swojej kompetencji nakazu zaprzestania ich używania”.

Krótko po tym, kiedy sąd zakazał uruchamiania dzwonów do czasu rozstrzygnięcia, parafia, jako głos diecezjalny, zajęła stanowisko, wydając oświadczenie: „Po zwołaniu nadzwyczajnego spotkania Rady Duszpasterskiej, Rady Ekonomicznej oraz przedstawicieli grup duszpasterskich przy parafii Opatrzności Bożej postanowiłem, jako proboszcz, poprzeć sprzeciw przeciwko powyższej decyzji, która została wydana na podstawie jednej osoby niepraktykującej przy naszej parafii”. Pod dokumentem złożyło podpisy ponad 90 parafian.

Ksiądz wrócił na plebanię i – zgodnie z zapowiedzią – rozmawiamy w zaciszu biura parafialnego.

Interwencję do Stolicy Apostolskiej ks. Herold określa jako nedorzeczną, ale ostatniego wyroku nie chce komentować. Formalnie szczegółów uzasadnienia sądu nie zna, bo wciąż czeka na pismo w tej sprawie. Kiedy jednak wypłynęła informacja o orzeczeniu, zamówił w „Tygodniku Tucholskim” ogłoszenie, zachęcając wiernych do udziału w manifestacji. W odpowiedzi na pikietę przed Sądem Rejonowym w Tucholi przyszło kilkadziesiąt osób. Były transparenty: „Dzwon to nie hałas, to znak wspólnoty” i „Nie róbcie z kościoła trybu cichego”.

– Ja mam płacić? Nie rozumiem tego. Dzwony to nieodłączny element kościoła – mówi ks. Herold. – Naprawdę chciałem dotrzymać warunków porozumienia z 2016 roku, ale były problemy techniczne – podkreśla, dodając, że ma poczucie niesprawiedliwości.

Waldemar Piotrowski, którego zastaję popołudniem w domu, nie gryzie się w język. Zaznacza, że całą sprawę by nie było, gdyby proboszcz wykazał wolę współpracy wcześniej. – Nie działałem sam. Za mną byli ludzie, którzy zgłaszali mi uciążliwość dzwonów.

Piotrowski kandydował w 2018 r. w wyborach samorządowych, ubiegał się o mandat radnego, ale ostatecznie nie uzyskał stanowiska. – Prowadziłem wtedy kampanię, spotykałem się z mieszkańcami. Obiecałem im, że sprawę dzwonów doprowadzę do końca niezależnie od wyniku wyborów.

Jeżeli wyrok się utrzyma, zasądzone na jego rzecz pieniądze chce przekazać organizacji pomagającej dzieciom z wadą słuchu. ©

Przystojny, niespełna 40-letni facet przebiera się na boisku Młodzieżowego Ośrodka Sportowego przy ul. Gdańskiej w Poznaniu w strój sędziowski. Robi to szybko, ale z gracją i pewnością siebie, jak przystało na sędziego asystenta, który za kilkanaście dni wybiegnie na boisko podczas najważniejszego turnieju piłkarskiego na świecie, czyli mundialu w USA, Kanadzie i Meksyku. W zespole słynnego Szymona Marciniaka jest od trzech lat jego prawą ręką, tak samo jak drugi asystent Tomasz Listkiewicz i sędzia techniczny Tomasz Kwiatkowski.

Szybko złapaliśmy flow

- Osiem lat temu pojechałem jako sędzia techniczny na mecz Ligi Europy BATE Borysów - Arsenal Londyn. Dwa lata później zadebiutowałem już jako sędzia asystent w Lidze Mistrzów, w zespole Pawła Raczkowskiego, podczas meczu na Anfield Road w Liverpoolu. Z kolei trzy lata temu dołączyłem do ekipy Szymona Marciniaka. Najpierw były mecze ligowe, a później przyszły największe spotkania na świecie. Bardzo szybko stworzyliśmy zgrany zespół. To ważne, bo czasami spędzamy ze sobą nawet dwa miesiące, praktycznie 24 godziny na dobę. Trudno byłoby dobrze funkcjonować w takim zespole, gdybyśmy nie nadawali na tych samych falach. Dzisiaj często rozumiemy się już bez słów. Pod tym względem u nas obowiązują bardzo podobne zasady jak w drużynie piłkarskiej - tłumaczy Adam Kupsik, rodowity poznanianin i szef kancelarii adwokackiej w rodzinnym mieście.

Wszystko zaczęło się w Poznaniu... i Wielkopolskim ZPN

Jak wielu młodych chłopaków marzył o wielkiej karierze piłkarskiej. Całą młodość i początek dorosłego życia spędził w drużynie Poznanianka.

- Po maturze zacząłem studiować prawo i zobaczyłem ogłoszenie, że Wydział Dyscypliny Wielkopolskiego ZPN szuka stażystów. Ostatecznie jednak tam nie trafiłem, bo już po pierwszej wizycie w siedzibie związku stwierdziłem, że zapiszę się na kurs sędziowski. Chciałem po prostu spróbować czegoś nowego. Krok po kroku awansowałem do wyższych lig - najpierw jako arbiter główny do IV ligi, a później jako sędzia asystent do II ligi. Potem dostałem powołanie od PZPN na kurs CORE. Zbierałem dobre recenzje jako asystent i wtedy uznałem, że właśnie w tym kierunku chcę się rozwijać. W 2014 roku zadebiutowałem w ekstraklasie podczas meczu Zawisza Bydgoszcz - Górnik Zabrze. Czego ja się wtedy nasłuchiwałem od ówczesnego właściciela Zawiszy Radosława Osucha...

SEDZIA MOŻE SIĘ POMYLIĆ - JAK KAŻDY CZŁOWIEK...

Może jest w cieniu Szymona Marciniaka, może nie jest tak rozpoznawalny, choć jako adwokat jest postrachem chuliganów i może to nie na nim ciąży największa presja. To jednak on jedzie, jako jedyny z Poznania, na piłkarski mundial. - To nagroda za lata biegania po boiskach niższych klas - mówi Adam Kupsik

Radosław Patroniak



Adam Kupsik mocno trzyma chorągiewkę asystenta, tak jak przystało na sędziego, który nigdy nie traci pewności siebie

Do dziś to pamiętam, ale może dobrze się stało, bo takie sytuacje hartują charakter - wspomina Adam Kupsik. Teraz również zawodowo spotyka się z podobnymi sprawami - reprezentując sędziów i działaczy sportowych w postępowaniach dotyczących znieważenia czy naruszenia nietykalności cielesnej.

- Niech pan napisze, że ten mój wyjazd na mundial to taka nagroda za te wszystkie lata wyjazdów na boiska niższych klas: do Niepruszewa, Czarniejewy, Borui Kościelnej i wielu innych miejsc. Dziś wspominał to z dużym sentymentem, choć nie zawsze były to łatwe momenty. Mundial za oceanem będzie dla mnie pewnym podsumowaniem tej drogi. Piłka nożna to moja wielka pasja z dozą adrenaliny - mówi 39-latek.



Adam Kupsik (z prawej) podczas ubiegłorocznych Klubowych MŚ przed meczem Inter Miami - Palmeiras

Simulacja prawdziwych meczów pod okiem Pierluigiego Colliny

Na piłkarskie mistrzostwa świata polski zespół sędziowski nie jedzie w nieznane. Rok temu, w tym samym składzie, arbitrzy

prowadzili już mecze podczas Klubowych Mistrzostw Świata.

- Lecimy dwa tygodnie przed rozpoczęciem turnieju do hotelu w Miami, gdzie również przed rokiem mieściła się baza sędziowska. Przed południem od-

bywają się szkolenia prowadzone przez szefa sędziów FIFA Pierluigiego Collinę. Ich celem jest ujednolicenie interpretacji przepisów przez arbitrów z różnych kontynentów.

Po południu przychodzi czas na zajęcia praktyczne z udziałem specjalnie wyselekcjonowanych drużyn. W ciągu kilkunastu minut potrafią oni stworzyć tyle trudnych i nieoczywistych sytuacji boiskowych, że później podczas normalnego meczu człowiek ma wrażenie, że wszystko dzieje się wolniej. Faulują, prowokują, przepychają i robią najmniej oczekiwane rzeczy - opowiada Adam Kupsik.

VAR, testy i ciągłe bycie w rozjazdach

W obecnych czasach decyzje sędziów piłkarskich są nierozdzielnie związane z technologią

VAR. Nic dziwnego, że lider zespołu Adama Kupsika, czyli Szymon Marciniak, powiedział kiedyś, że sędzia jest trochę jak saper, bo praktycznie nie ma miejsca na pomyłkę.

- VAR musi być przede wszystkim wykorzystywany właściwie i rozsądnie. FIFA oraz IFAB cały czas rozwijają ten system. Podczas mundialu VAR będzie mógł interweniować również w sytuacjach ewidentnie błędnie pokazanej drugiej żółtej kartki, która w konsekwencji prowadzi do czerwonej kartki - podkreśla Adam Kupsik.

Zapytaliśmy go również o to, czy współcześni arbitry nie funkcjonują pod dodatkową presją związaną z nieustanną oceną w mediach i internecie.

- Na boisku pracują trzy pary oczu, a każdy mecz ekstraklasy transmitowany jest z wykorzystaniem około 25 kamer. Podczas mistrzostw świata będzie ich aż 64, trudno więc dziwić się, że decyzje sędziowskie są później szeroko komentowane. Kibice lubią kontrowersje i dyskusje wokół nich - to część piłki nożnej. Dla nas najważniejsza pozostaje jednak ocena obserwatora i analiza konkretnych sytuacji meczowych. Nikt z nas nie jest nieomylny. Istotne jest to, aby ewentualne błędy przeanalizować i wyciągać z nich wnioski na przyszłość. Szymon Marciniak wielokrotnie powtarzał młodszym sędziom, żeby nie bali się korzystać z monitora VAR, jeśli sytuacja tego wymaga - mówi poznański arbiter.

Rozmawialiśmy z nim również o sędziowskich testach kondycyjnych, nawiązując do opinii Jarosława Przybyły, który stwierdził, że arbitry momentami muszą być lepiej przygotowani fizycznie niż niektórzy piłkarze.

- Coś w tym jest, ale osobiście nie uważam, żeby te wymagania były przesadzone. W PZPN mamy trenera przygotowania fizycznego i jeśli ktoś sumiennie realizuje plan treningowy, to zdanie czterech testów w ciągu roku nie stanowi większego problemu. Oczywiście patrzę na to z perspektywy niespełna 40-latk. Pewnie za kilka lat spojrzę na to trochę inaczej, ale z wiekiem trzeba też umieć zaakceptować, że przychodzi moment oddania miejsca młodszemu - przyznaje nasz eksportowy sędzia.

Na koniec zapytaliśmy go też o to, dlaczego Wielkopolska wciąż ma tak niewielu arbitrow na najwyższym poziomie.

- Nie ma jednej prostej odpowiedzi. Na pewno mamy utalentowanych sędziów, choć być może czasami problemem jest selekcja. Trzeba też pamiętać, że ten zawód wiąże się z ogromnymi wyrzeczeniami i ciągłą obecnością poza domem. Bez wyrozumiałej żony i wsparcia najbliższych trudno w ogóle marzyć o wyjściu na murawę największych stadionów i prowadzeniu meczów oglądanych przez miliony kibiców - kończy z uśmiechem Adam Kupsik.

Siatkarze Jastrzębskiego Węgla, klubu z sukcesami, historią i ogromnymi tradycjami, nie zagrają w przyszłym sezonie w PlusLidze. Pobliska kopalnia, ich sponsor strategiczny, nie będzie już wspierać sportu. Kibice się nie poddają. Urządzili internetową zbiórkę pieniędzy. „Nasze miasto to siatkówka. Zrobimy wszystko, żeby tak zostało” – mówią

Dorota Kowalska

JASTRZĘBSKI WĘGIEL. JAK KIBICE PRÓBUJĄ URATOWAĆ KLUB

Janusz Kalisz, prezes Klubu Kibica Siatkówki Jastrzębie, 67 lat, emeryt, były górnik Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Siatkówką interesował się od szkoły podstawowej, grał w nią na lekcjach WF-u albo odbijał z kolegami piłkę na podwórku. Oczywiście, w tych czasach to piłka nożna była górą, ale on wołał siatkówkę.

- Zawsze jak tylko była możliwość, a nie było w dawnych czasach tych możliwości zbyt wiele, oglądałem siatkówkę w telewizji. Pamiętam nasze złoto olimpijskie w 1976 roku w Montrealu. Siedziałem w nocy i czekałem na transmisję, potem oglądałem telewizję do białego rana - wspomina.

Na mecze Jastrzębskiego Węgla chodził jeszcze do starej hali zwanej potocznie „Kurnikiem” albo „Kurnik Areną” w dzielnicy Szeroka, ale przeszkadzało mu, że sala jest tak mała. Poza tym dostać wtedy bilet na mecz, to był prawdziwy wyczyn. Na dobre zaczął kibicować Jastrzębskiemu Węglowi, kiedy siatkówka przeniosła się do nowej Hali Sportowo-Widowskiej przy ul. Jana Pawła II. Został stałym kibicem jastrzębskich siatkarzy. Oglądał większość meczów, nie wszystkie, bo przecież musiał chodzić do pracy, a spotkania są także rozgrywane w środku tygodnia.

Jak zapisał się do klubu kibica?

- To był trochę przypadek. Chodziliśmy z synem na mecze, mieliśmy kamety, które dofinansowywała kopalnia. Po jednym z nich ogłoszono, że będzie wyjazd do Rzeszowa, to chyba były play offy. I syn namówił mnie, żebyśmy się przejechali. Podeszliśmy do sektora klubu kibica, zapytaliśmy, czy możemy z nimi pojechać i zabraliśmy się z nimi na wyjazd. Jeden, potem następny. W końcu zapropono-

wano nam, żebyśmy się zapisali do klubu kibica. I tak się stało - opowiada.

W 2018 roku został prezesem Klubu Kibica Siatkówki Jastrzębie, klub oficjalnie zarejestrowano, wpisano do Krajowego Rejestru Sądowego, ale wielu jego członków z ruchem kibicowskim związana była przez wiele lat, należąc chociażby do Stowarzyszenia Społecznego Klub Kibica KS Jastrzębie - Borynia, albo grupy zrzeszonej pod roboczą nazwą Koło Sympatyków Jastrzębskiego Węgla, które działały wcześniej.

Na mecze Jastrzębskiego Węgla zawsze „waliły” tłumy, ale mieli tu świetnych zawodników, siatkarskie sławy. On bardzo lubi Tomka Fornalę.

- Wyjątkowy facet, nie tylko jako zawodnik, ale jako człowiek - mówi Janusz Kalisz. - Obserwowałem rozwój jego kariery, bo pierwszy raz zobaczyłem Tomka w 2018 roku, grał wtedy jeszcze w Radomiu. Młody chłopaczek, wyszedł na zagrywkę i wsadził nam trzy asy pod rękę - dodaje prezes.

Fornal przeszedł potem do Jastrzębskiego Węgla. Kalisz pamięta rok 2021, pandemia, a oni, po dłuższej przerwie, zdobyli tytuł Mistrza Polski. Hale były puste, nie mogli kibicować. Ale na ten ostatni mecz o mistrzostwo całe Jastrzębie przyszło na ul. Jana Pawła II. Tomek Fornal wyszedł do nich z pucharem. Wszyscy drżeli przed wirusem, a on się nie bał, odważnie stanął przed kibicami.

- To były takie drobne gesty. Tomek ostatni wychodził z hali, do każdego podszedł, porozmawiał po meczu, wszystkim rozdawał autografy, z każdym zrobił sobie zdjęcie - tłumaczy Janusz Kalisz.

Co roku na zakończenie sezonu organizują spotkanie kibiców, zapraszają na nie także zawodników. Ci są już po sezonie,

więc nie zawsze mogą przyjść, ale Fornal przychodził. Zawsze znalazł dla nich czas. Ben Toniutti, rozgrywający, Francuz od ponad 10 lat grający w Polsce, to też super gość. Ciężko się było z nim dogadać, ale czuł atmosferę tego miejsca.

Jastrzębie żyje siatkówką. Nowa hala może pomieścić trzy tysiące sto osób. Na ważniejsze mecze zawsze wszystkie bilety były wyprzedane. W środku tygodnia, kiedy ludzie chodzą do pracy, na meczach było od dwóch i pół tysiąca do trzech tysięcy kibiców.

Mają swoje przyśpiewki, dwa werble i sześć bębnow, kilku bębniarzy. Mają firmę, która produkuje dla nich stroje i gadżety kibicowskie. Inna świadczy dla Klubu Kibica Siatkówki Jastrzębie usługi transportowe, wozi ich na mecze wyjazdowe. Są świetnie zorganizowani, łączy ich sport.

Smutne pożegnanie

Tak, wiedzieli, że dzieje się źle. Już na początku 2025 roku pojawiły się pogłoski o problemach finansowych Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Z czasem finansowanie klubu było mocno ograniczone, zalegali z należnościami zawodnikom, pracownikom klubu.

Pod koniec rozgrywek Jastrzębska Spółka Węglowa wycofała się z dalszego wspierania siatkarzy. Była strategicznym sponsorem klubu.

„Jastrzębska Spółka Węglowa, z uwagi na obecną trudną

sytuację finansową, nie przewiduje finansowania występującego w PlusLidze JSW Jastrzębskiego Węgla w sezonie 2026/27” - poinformowało biuro prasowe węglowej spółki. Taka sama decyzja dotyczy występującego w Tauron Hokej Lidze JKH GKS Jastrzębie.

To był smutny dzień. W czwartek, 9 kwietnia, siatkarze JSW pożegnali się z kibicami. Drużyna prowadzona przez trenera Andrzeja Kowala zakończyła sezon na siódmym miejscu, odpadła dopiero w ćwierćfinale play-off w trzech meczach z PGE Projektem Warszawa. Świetny wynik, biorąc pod uwagę okoliczności i fakt, że o Jastrzębskim Węglu przez ostatnie miesiące mówiło się głównie w kontekście kłopotów finansowych klubu.

- Na dziś zakończone zostały wszystkie kontrakty zawodników. Ci, którzy mieli ważne umowy na kolejny sezon, dostali wolną rękę, by szukać rozwiązań najlepszych dla siebie. Nie udało się wypłacić graczom wszystkich pieniędzy. Sezon zakończymy z deficytem finansowym, ale jest na to rozwiązanie. Potrzeba również nieco czasu, współpracy z zawodnikami i ich menedżerami. Jesteśmy świadomi konieczności wykonania wszystkich zobowiązań finansowych - mówił prezes klubu Adam Gorol.

Janusz Kalisz jako prezes klubu kibica miał przed sobą trudne zadanie. Łamiącym się głosem pożegnał zawodników.

- Dziękujemy za wszystko. Widzieliśmy wasze zaangażowanie, serce zostawione na boisku. Daliście nam wiele radości i emocji w tej hali oraz w wielu innych w kraju i Europie - powiedział, potem wręczył zawodnikom kibicowskie szaliki.

Odśpiewali chórem klubowy hymn. Po pięciu latach z klubem pożegnał się Benjamin Toniutti. Zgotowali mu owacje na stojąco. Inni zawodnicy też odchodzą.

- To był trudny sezon dla nas wszystkich. Walczyliśmy w każdym meczu jak najlepiej potrafiliśmy. Bez waszego wsparcia, także na wyjazdach, byłoby to trudniejsze. Ten klub ma specyficzną atmosferę. Zostaniecie w moim sercu na zawsze - mówił Toniutti do swoich fanów.

Kibice robili sobie zdjęcia z zawodnikami i trenerami, zbierali autografy. Rozmawiali między sobą. Nie zamierzają się poddawać.

- Zgłosił się do mnie jeden z zapalonych kibiców, który też nie potrafił się pogodzić, że Jastrzębskiego Węgla nie będzie. Stwierdził, że musimy coś zrobić, żeby uratować ten klub. Spotkaliśmy się, wymieniliśmy uwagi. To było zaraz po tym naszym pożegnaniu - opowiada Kalisz. - My działalności kończyć nie zamierzamy, niezależnie od tego, kto tu będzie grał i na jakim szczeblu. Wymyśliliśmy tę zbiórkę i zaświeciło się światelko w tunelu, może nie wszystko jest już stracone - dodaje.

Chcą pomóc klubowi przetrwać kryzys finansowy i zebrać 15 milionów złotych.

„To jest wołanie o pomoc. Ostatni gwizdek. Ostatnia szansa” - rozpoczęli aukcję. „Jeśli nie zareagujemy teraz, możemy stracić coś, czego nie da się odbudować. To nie jest zwykła zbiórka. To nie jest prosba. To jest krzyk. Krzyk, o ratunek dla barw, które nosimy w sercu. Dla herbu, który towarzyszył nam w naj-

piękniejszych chwilach. Dla drużyny, która walczyła dla nas, nawet wtedy, gdy nikt w nich nie wierzył” - czytamy w opisie zbiórki.

Wiedzą już, że nie będą grać w PlusLidze, drużyna nie została zgłoszona do rozgrywek, ale chcą uratować siatkówkę w ich mieście. Mają klub, mają Akademię Talentów, w której szkołą się dzieciaki już szkoły podstawowej. Drużyna Akademii gra w II lidze, odnosi sukcesy. Można ją jakoś wzmocnić, zasilić, powalczyć o wejście do I Ligi, a potem PlusLigi. Na razie zebrali niecałe 40 tys. złotych. Kropla w morzu potrzeb, ale jest o co walczyć.

Pamiętny półfinał

Sławomir Caban, 47 lat, funkcjonariusz w Zakładzie Karnym w Jastrzębiu-Zdroju. Był w szkole podstawowej, kiedy wuefista zabrał ich na mecz Jastrzębskiego Węgla. Zespół występował wtedy na „Kurniku”, on mieszkał tuż obok, w dzielnicy Szeroka. Atmosfera na meczu była wyjątkowa. Wpadł posame uszy, wciągnęła go siatkówka.

Z czasem zapisał się do klubu kibica. Prowadzi zeszyt, w którym zapisuje wszystkie mecze Jastrzębia, oznacza, na którym meczu jest, na którym go nie ma, czy to mecz „domowy”, jak mówi, czy wyjazdowy. Ma bogatą kolekcję: chyba z dwieście pięćdziesiąt koszulek Jastrzębskiego Węgla, wszystkie klubowe gadżety, medale, puchary, bilety z meczów wyjazdowych, plakaty, szaliki.

- Mieszkamy w takim mini muzeum - przyznaje ze śmiechem.

Żona nie ma nic przeciwko, poznali się dzięki siatkówce. Pojechał na mecz wyjazdowy Jastrzębskiego Węgla do Bełchatowa. Była tam jego przyszła żona, kibice z Sosnowca i okolic są zaprzyjaźnieni z tymi z Beł-

*W ŚRODKU TYGODNIA,
KIEDY LUDZIE CHODZĄ
DO PRACY, NA MECZACH BYŁO
OD DWÓCH I PÓŁ TYSIĄCA
DO TRZECH TYSIĘCY KIBICÓW*

chatowa i często ich wspomagają, a ona pochodzi z Będzina. Miała szalik, który bardzo by mu się przydał w jego kolekcji. Zagał, wymienili się telefonami. Dzisiaj mają dwóch synów. Na mecze chodzą całą rodziną, jak tylko urodzili się chłopcy, wkładali im słuchawki na uszy i z wózkami maszerowali na halę.

- Przyszły sezon byłby moim trzydziestym - wrzucił mimo woli.

Przez te 29 lat to poznał wielu ludzi i sporo przeżył: wszystkie sukcesy i porażki jastrzębskiej drużyny. Pamięta pierwsze Mistrzostwo Polski w 2004 roku. To był mecz półfinałowy, grali z AZS Częstochowa. W czterech wcześniejszych meczach, dwa razy wygrała Częstochowa, dwa oni. To był piąty mecz, bo gra się do trzech wygranych, mecz o wszystko. Jego zwycięzca wchodził do finału. W tie-breaku przegrywali już 10:5, ruszyli z dopingiem i Jastrzębie zaczęło, punkt po punkcie, odrabiać straty. Wygrali. W finale w trzech meczach pokonali Olsztyn. Na wyjeździe, w Olsztynie właśnie, świętowali pierwsze mistrzostwo swojego klubu.

- Przeżywaliśmy zwłaszcza ten piąty mecz półfinału. Popłakaliśmy się ze szczęścia, po meczu długo jeszcze siedzieliśmy na hali. Kolejne sukcesy też były czymś wyjątkowym. Od lat jesteśmy praktycznie w czołówce PlusLigi - opowiada Sławomir Caban. Kilukrotnie byli poza czwórką, a tak zawsze wśród najlepszych.

W 2024 obchodzili rocznicę dwudziestolecia zdobycia pierwszego Mistrzostwa Polski. Przyjechali zawodnicy, którzy 20 lat temu grali w Jastrzębiu. Doskonale znają swoich kibiców. Podchodzili do nich, witali się, z każdym zamienili kilka zdań - sportowa rodzina.

No i teraz wszystko się urwało.

Bez znieczulenia

Jastrzębski Węgiel to klub z tradycjami i historią. Założono go w 1961 roku, oficjalnie grał w PlusLidze od sezonu 1997/98. Ma na koncie 16 medali mistrzostw Polski: po cztery złote i srebrne, osiem brązowych, dwa Puchary i dwa Superpuchary Polski.

Drużyna odnosiła sukcesy na arenie międzynarodowej. Dwukrotnie grała w finale Ligi Mistrzów (2023, 2024). Wywalczyła srebro Klubowych Mistrzostw Świata (2011).

W klubie występowało wielu reprezentantów Polski, choćby Michał Kubiak, Dawid Konarski i Norbert Huber. Większość kariery seniorskiej w Jastrzębskim Węglu spędził wspomniany już Tomasz Fornal.

Grało tu wielu zagranicznych zawodników, Benjamin Toniutti, o którym już było, Lukas Kampa, niemiecki rozgrywający pochodzący z Bochum,



Kibice Jastrzębskiego Węgla chcą pomóc klubowi przetrwać kryzys finansowy i zebrać 15 milionów złotych. Ale bardzo ciężko będzie zebrać pieniądze, które zmieniają losy klubu

Bułgar Płamen Konstantinow, przyjmujący Miran Kujundžić z Serbii, niemiecki środkowy Anton Brehme

Prezes Jastrzębskiego Węgla, Adam Gorol, próbował ratować siatkarskich asów, ale nie było łatwo. Tytułarny sponsor, czyli Jastrzębska Spółka Węglowa, narzucił warunek dodania swojego członka do nazwy klubu, chciała wyłącznie wizerunkowej, a to właściwie uniemożliwiało znalezienie innych partnerów. Szef klubu przyznał, że już w poprzednich latach mówił o tym, że potrzeba także innych źródeł finansowania, innych sponsorów, ale spółka węglowa zacieśniała jeszcze powiązania z klubem.

- Wprost postawiono warunek, że do nazwy klubu ma być dodany człon „JSW”, by jeszcze bardziej związać go z Jastrzębską Spółką Węglową. Nie dano nam więc żadnej przestrzeni, żeby szukać innego istotnego sponsora. Każdy potencjalny partner oczekiwałby i oczekuje widoczności mimo tak zdominowanego wizerunku klubu. W tej sytuacji o ekwiwalent marketingowy z naszej strony byłoby bardzo trudno - przyznał Adam Gorol w TVSPORT.PL. - Moment, w którym dowiedziałem się, że przyszłej współpracy nie będzie, również stanowi wyzwanie. Miesiąc, półtora do końca sezonu to czas, w którym nie ma absolutnie żadnych realnych szans z punktu widzenia procedowania korporacyjnego, by pozyskać sponsora. Wymaga to bowiem wielomie-

siecznych negocjacji popartych analizami. Dodatkowo czas, w którym pojawiają się realne problemy finansowe, nie jest dobry na rozmowy z nowym partnerem biznesowym. To po prostu za późno - dodał.

Ale nie wszystko stracone. Można uratować Akademię Talentów. Siatkówka nie może zniknąć z ich miasta.

Miasto siatkarzy

Ireneusz Kobyliński, 53 lata, górnik dołowy, wielki miłośnik sportu. - Interesuję się nim od małego, od kiedy mam świadomość, można by powiedzieć. O, wiem! Był rok 1982, miałem wtedy 10 lat i pamiętam mistrzostwa świata w piłce nożnej. Polacy pod wodzą Antoniego Piechniczka zajęli trzecie miejsce. To jest moje takie pierwsze wyraźne wspomnienie sportowe. Mam też przeżytki z igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 roku - opowiada.

Potem widział w telewizji fragmenty legendarnego finału w Montrealu. Polscy siatkarze wygrali ze Związkiem Radzieckim 3:2 i już wiedział, że to jest to.

Na mecze jeździ od 1987 roku. Wtedy na siatkówkę chodzili ci sami kibice co na piłkę nożną, na hokej, po prostu kibice GKS-u Jastrzębia. Potem, po latach jakoś się podzielili: są kibice siatkarscy, hokejowi, piłkarscy. Chociaż wielu chodzi na wszystko.

Od lat 80. był na większości meczów. Cała jego rodzina kibicuje Jastrzębskiemu Węglowi, ale tylko on chodzi na halę,

reszta to kibice telewizyjni. Bywali na meczach siatkówki: żona kilka razy, córce się zdarzyło, synowi też, ale, jak to mówi, wystarczy jeden wariat w domu.

- Zawsze bardzo szanowałem Piotra Gabrycha, który bardzo nam pomógł w zdobyciu pierwszego mistrzostwa. Człowiek o ciężkim charakterze, ale cenilem go za waleczność. Prawdziwy fighter - wspomina. - Tomek Fornal też potrafił porwać ludzi do walki, podobnie Jurek Gładyr. Gładyr to było przez kilka lat serce i dusza tego zespołu - dodaje.

On też, jak Sławomir Caban, pamięta legendarny półfinał mistrzostw Polski z 2004 roku.

- Przegrywać 10:5 w tie-breaku i wygrać ten tie-break do trzynastu, to jest naprawdę coś! Takie rzeczy się pamięta. Tym bardziej, że wcześniej czterokrotnie z Częstochową przegrywaliśmy w ćwierćfinałach albo półfinałach. Cały czas nasłali i zapowiadało się kolejne łanie. A doszło do niesamowitego zwrotu akcji, w pewnym sensie siatkarskiego cudu - mówi.

Po tym meczu wszyscy na trybunach rozplakali się ze szczęścia. Po tylu latach upokorzeń, wreszcie zwycięstwo. Radość była tym większa, że z kibicami AZS Częstochowa nie przepadali za sobą.

- Po tym meczu byliśmy na 99 procent pewni, że wygramy w finale i tak się stało - mówi.

Pamięta mecz reprezentacji Polski z Jugosławią w 2000 roku, ten słynny turniej

przedolimpijski w Spodku. To była ta wspaniała Jugosławia z braćmi Grbicami. Polacy byli o krok od doprowadzenia do tie-breaka. Przy stanie 23:17 dla gospodarzy, na zagrywce w drużynie Jugosławii pojawił się Andrija Gerić. Jego seria potężnych serwisów odwróciła losy seta i ostatecznie to przyjezdni wygrali partię 28:26, a całe spotkanie 3:1. Hala w Spodku pograżyła się w absolutnej ciszy. Po tej porażce reprezentacja Polski straciła szansę na awans olimpijski. Jugosławia wygrała cały turniej, a kilka miesięcy później sensacyjnie sięgnęła po złoty medal igrzysk w Sydney.

Tam, w Katowicach na trybunach były tłumy. Znają się z innymi fanami siatkówki. Są w wielkiej przyjaźni z kibicami Resovii Rzeszów, mają dobre kontakty z kibicami z Olsztyna, z kibicami z Bełchatowa szanując się. Kiedyś łączyły ich dobre relacje z kibicami z Kędzierzyna-Koźla, potem doszło do zgrzytów, ale spotkali się, porozmawiali i wszystko sobie wyjaśnili. Na siatkówce jest zupełnie inna atmosfera niż na piłce nożnej, wie, bo jeździł całe lata na mecze Górnika Zabrze.

- Urodziłem się w Rudzie Śląskiej, a jak ktoś się urodził w Rudzie Śląskiej, to jest albo kibicem Górnika, albo Ruchu. Trzeciej możliwości nie ma - tłumaczy.

Inni ludzie jeżdżą na siatkówkę, trochę inni na piłkę nożną. Piłka wyzwała dziwne emocje, ktoś kiedyś powiedział, że futbol to namiastka wojny i,

jak mówi, jest w tym sporo prawdy. Poza tym, hala jest mniejsza niż stadion piłkarski, a jak przyjdzie na niego trzydzieści tysięcy ludzi, to zawsze łatwiej trafić na szaleńców. Na Jastrzębski Węgiel chodzą całe rodziny, tu atmosfera jest zupełnie inna.

- Ale umówmy się też, że całe lata siatkarska reprezentacja Polski nie święciła triumfów, nie było sukcesów klubowych w europejskich pucharach, a jednak atmosfera na halach zawsze była bardzo dobra, a wiadomo, że mnóstwo ludzi przyciągnęły zwycięstwa klubów i kadry - zauważa.

Co myśli o zbiorce pieniędzy na ratowanie klubu?

- Powiem szczerze, byłem optymistycznie nastawiony, ale spodziewałem tego, co jest, bo twardo stąpać po ziemi. Nie wierzę, że możemy zebrać pieniądze, które zmieniają losy klubu. Poza tym pewne rzeczy są już przypieczętowane nie z winy zarządu klubu, czy pana prezesa Gorola. Tak dramatyczna sytuacja nastąpiła z powodu fatalnego zarządzania Jastrzębską Spółką Węglową. Walczyć jednak trzeba - mówi.

Są takie miasta, które szczególnie upodobały sobie jakąś dyscyplinę sportu. Rzucasz nazwę miejscowości i od razu wiesz, o co chodzi. Włocławek to miasto Anwilu, czyli koszykarzy, Oświęcim to hokej, Kielce to piłka ręczna, podobnie Płock. W Jastrzębiu-Zdroju popularny jest boks, hokej, ale to miasto siatkówki.

ALEKSANDRA HARASIUK: NIECH BURSZTYN ZOSTANIE ZACZAROWANY

– Niech bursztyn ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata – mówi Aleksandra Harasiuk

Amita Czupryn

Mam takie małe marzenie i myślę, że nie tylko ja: pojechać na urlop nad Bałtyki i znaleźć piękny, wielki bursztyn. Jakie są na to szanse latem?

Jako że z bursztynem wiąże się nauka i wiedza, to trzeba wiedzieć, jakie warunki sprzyjają temu, by znaleźć bursztyn na bałtyckim wybrzeżu, nie tylko w Polsce, ale też na Litwie, Łotwie, w Rosji czy w Skandynawii. Najlepsza jest pogoda sztormowa. Najczęściej to, co znajduje się w morzu w postaci żywicy, czyli bursztynu, wyrzucane jest na brzeg w okresie luty-marzec albo październik-listopad. Wtedy mamy największe zmiany prądów w Bałtyku. Podczas sztormów natura porusza tym, co zalega jeszcze na dnie morza. Latem oczywiście też można bursztyn znaleźć, ale trzeba wiedzieć, gdzie i jak go szukać. Można też skorzystać z pomocy tak zwanych poławiaczy bursztynu i wędrówacich śladem. Dzisiaj najbardziej znanym miejscem jest Mierzeja Wiśłana. Są tam trzy miejscowości uznawane za centrum połowów bursztynu. Ale żeby znaleźć naprawdę dużą bryłę, to oprócz posiadania wiedzy trzeba się jeszcze urodzić pod szczęśliwą gwiazdą.

Czy bursztyn jest surowcem niewyczerpywalnym? Ile go właściwie jest? Znajduje się tylko w morzu?

Bursztyn, czyli kopalna żywica, występuje w różnych zakątkach świata, ale pochodzi z różnych epok kształtowania się kontynentów i lądolodów. Nasz bursztyn bałtycki związany jest z formowaniem się kontynentu europejskiego i Skandynawii, z tak zwanych wysp Fenno-

skandii. To czasy eocenu. Tak określamy pochodzenie bursztynu bałtyckiego, jako czas w historii geologicznego tworzenia się naszej części świata. Jeśli chodzi o bursztyn bałtycki na terenie Polski, mamy dwa zasadnicze regiony złóż, które Państwowy Instytut Geologiczny pokazuje w bilansie złóż kopalin. Ostatni dostępny bilans, sporządzony na 31 grudnia 2024 roku, wskazuje województwo lubelskie i pomorskie. Lubelskie oceniane jest na 3690 ton (zasoby przemysłowe wynoszą 2059 ton). 11 złóż lubelskich to 3648 ton i położone są na głębokości 20-30 metrów. Pomorskie oceniono na 41 ton na głębokości 60-130 metrów. Obecnie eksploatowane są złoża w województwie lubelskim: Górka Lubartowska, Leszkowice i Niedźwiada III. W ubiegłym roku, zgodnie z raportem, wydobyto ponad 9 ton bursztynu. Każde wydobycie jest zgłaszane do oficjalnych służb, stąd znamy te liczby.

Ile ważyła największa znaleziona bryła bursztynu?

Jeżeli mówimy o bursztynie bałtyckim, największa znana bryła waży 9,75 kilograma. Została znaleziona w 1860 roku w Rarwinie koło Kamienia Pomorskiego. Dziś znajduje się w Muzeum für Naturkunde w Berlinie.

A najpiękniejszy artefakt z bursztynu, którym możemy się chwalić w Polsce?

Jeżeli mówimy o kolekcjach bursztynu w Polsce, bardzo ważne jest Muzeum Zamkowe w Malborku. Tam znajdują się jedne z najcenniejszych obiektów bursztynowych w Polsce. Muzeum Bursztynu w Gdań-

sku to #mustvisit. Ale tuż za granicą Polski, w Ribnitz-Damgarten, znajduje się Deutsches Bernsteinmuseum, czyli Niemieckie Muzeum Bursztynu. Są tam niezwykle cenne rzeczy z bursztynu związane z dawnym, przedwojennym Gdańskiem, który był wtedy miastem silnie związanym z kulturą niemieckojęzyczną. Oni mają obiekty, których my prawdopodobnie nigdy już w Polsce nie będziemy mieli.

Dlaczego bursztyn bałtycki jest tak wyjątkowy na tle innych żywic kopalnych świata?

Z jednego powodu: zawiera kwas bursztynowy na poziomie 5-8 procent. Przypisuje mu się właściwości korzystne dla zdrowia człowieka. Z bursztynem wiążą się legendy i wierzenia ludowe, które mają ponad 3000 lat. Kiedy patrzymy na jego właściwości mineralogiczne, nie z perspektywy lekarzy czy farmakologów, ale historii i medycyny tradycyjnej, to widzimy przede wszystkim legendy, przekazy i wierzenia. Mówiono, że bursztyn i kwas bursztynowy znajdują się na zewnętrznej warstwie bryłki, którą potem noszono jako biżuterię, amulet czy talizman, mają dobry wpływ na człowieka. Ale trzeba jasno powiedzieć: to nie jest wiedza medyczna w ścisłym sensie.

Czy bursztyn może być polskim diamentem?

Bursztyn bałtycki jest naszym skarbem narodowym, dobrem narodowym i dziedzictwem kulturowym. Ale zawsze bardzo mocno podkreślamy, także PR-owo, że nie ma czegoś takiego jak „bursztyn polski”. Jest bursztyn bałtycki, który wystę-

puje na wspomnianych terenach. Dla nas jest dobrem i dziedzictwem kulturowym, ponieważ od ponad 3000 lat na ziemiach, które dziś znajdują się na mapie Polski, był przetwarzany i używany jako amulet, talizman, przedmiot dekoracyjny czy element kultury. Pod Nowym Dworem Gdańskim znaleziono figurki z bursztynu, które miały ponad 3000 lat. Od setek lat eksportowaliśmy wyroby z bursztynu jako przedmioty rzemiosła i podarunki dyplomatyczne. Jedną z badaczek napisała na KUL-u wspaniałą pracę doktorską o tym, jak od XVII wieku z naszych terenów trafiały w świat bursztynowe szkatuły, kufle, różańce i inne przedmioty jako podarunki dyplomatyczne. Różańce upowszechniali między innymi Krzyżacy z Malborka, którzy monopolizowali wydobycie i handel bursztynem od X wieku. Na ziemiach polskich przez wieki zajmowano się przetwórstwem tego surowca. Mamy na to dowody, mamy wspaniałe okazy w wielu muzeach w Polsce. Dlatego uważam, że powinniśmy mówić o bursztynie jako o naszym dobru narodowym i zapleczu kulturowym. To fascynujące dziedzictwo, które wreszcie warto podnieść do takiej rangi, jak twórczość Chopina czy dorobek Marii Skłodowskiej-Curie.

Diament mierzy się w karatach. A czym mierzy się bursztyn? Wagą, pięknem, kolorem, historią, pochodzeniem?

To dziś jedna z najważniejszych kwestii, którymi zajmuje się Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników z siedzibą w Gdańsku. Bursztyn jako żywica od lat był modyfi-

kowany. Jeśli chodzi o skład chemiczny, w 60-80 procentach składa się z węgla, potem z tlenu i wodoru, a także niewielkiej ilości siarki. Po wrzuceniu do ognia płonie, stąd niemiecka nazwa Bernstein. Jest jednak kruchy: w skali Mohsa jego twardość wynosi około 2-2,5. Dlatego nie przetrwał tak jak diament, najtwardszy minerał świata, który ma twardość 10. Po diamentie można przejechać czołgiem i nic mu się nie stanie. Bursztyn łatwo się kruszy, stąd tak mało przetrwało zabytków i artefaktów wykonanych z bursztynu.

O co więc dziś toczy się walka na rynku bursztynu?

O uporządkowanie zasad oceny. Diament ma swoje 4C, czyli kryteria wartości. To bardzo ważne, bo pozwala ograniczać chaos na rynku kamieni jubilerskich. W przypadku bursztynu czegoś tak jednoznacznego nie mamy. W 1996 roku, czyli ponad 30 lat temu, powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników. Jedną z jego założycielek była profesor Barbara Kosmowska-Ceranowicz, która od lat 70. zajmowała się bursztynem bałtyckim. W stowarzyszeniu spotkali się naukowcy z różnych dziedzin: chemicy, fizycy, paleontolodzy, historycy sztuki. Musieli wspólnie zastanowić się, jak klasyfikować kamienie jubilerskie z bursztynu. Taka klasyfikacja powstała i wiele osób na świecie – jak muzealnicy, kolekcjonerzy czy gemmolodzy – ją stosują. Ale nie możemy jej nikomu narzucić, bo Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników jest organizacją pozarządową. To nie jest prawo obowiązujące cały świat. Dziś ta klasyfikacja obejmuje cztery podstawowe kategorie. Pierwsza to bursztyn naturalny. Niewygrzewany, niepoddany żadnej obróbce technologicznej zmieniającej barwę czy właściwości. Może być wypolerowany, może zostać użyty do naszyjnika albo koralu, ale nie został technologicznie zmodyfikowany przez człowieka. I to jest najcenniejszy okaz. Druga kategoria to bursztyn modyfikowany, czyli kamień, którego wygląd, tekstura bądź trwałość zostały zmienione w wyniku ingerencji człowieka, np. przez obróbkę termiczną. Może wówczas zmieniać kolor i barwę. Sprzedawane są bursztyny barwione na czerwono czy jaskrawozielono, ale to nie są barwy naturalne. Trzecia forma to bursztyn rekonstruowany (prasowany). Jest poddawany nie tylko obróbce termicznej, ale też łączeniu kilku naturalnych bryłek pod wpływem podwyższonej temperatury i ciśnienia, tak aby powstał materiał, który można pociąć i wykorzystać w biżuterii. Czwarta kategoria to bursztyn łączony, tak zwany duplet/trypiet, gdzie kilka rodzajów mate-

riału może zostać zestawionych w jednej bryłce czy w jednym wyrobie. Jest też międzynarodowa organizacja, która w publikacjach dla kamieni jubilerskich traktuje bursztyn bałtycki jako część organicznych materiałów gemmologicznych, podobnie jak koral czy jadeit. I tam pojawia się bardzo ważne ostrzeżenie: jeżeli bursztyn został zmodyfikowany, nie można opisywać go jako naturalnego. Problem polega na tym, że nie wszyscy się do tego stosują. W laboratoriach gemmologicznych u naszych sąsiadów, na Łotwie czy w Rosji, często pisze się, że bursztyn jest naturalny, a dopiero obok dodaje słowo „modyfikowany”, tak aby uzyskać wyższą cenę. To, co robią nieuczciwi producenci, przemysłownicy i handlarze, to już osobna historia. A właściwie cała epopeja.

Jak często bursztyn się podrabia? I co może zrobić przeciętny człowiek, żeby nie dać się oszukać?

Po pierwsze, niestety, każdy może zostać oszukany. Dlaczego? Bo imitacja bursztynu bywają czasami nie do odróżnienia gołym okiem. Druga sprawa jest taka, że tych imitacji jest bardzo dużo. Od XIX wieku robiono różnego rodzaju materiały, które miały udawać bursztyn. Jednym z najbardziej znanych jest bakelit. To nic innego jak tworzywo sztuczne. Wszedł do masowej produkcji wtedy, kiedy chciano uzyskać materiał w kolorze bursztynu, który będzie podobnie wyglądał. Produkowano go między innymi w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. W XX wieku było bardzo dużo takich podmian. W biżuterii vintage można znaleźć mnóstwo przykładów. Bursztynnicy zawsze się ekscytują, kiedy w filmie czy serialu pojawia się duża zawieszka przypominająca bursztyn. Tak było choćby przy jednej z nowszych produkcji związanych z „Seksem w wielkim mieście”. Jedną z aktorek miała dużą zawieszke i wszyscy uznali, że to bursztyn. Tymczasem był to bakelit. Podobnie Iris Apfel miała wiele dużych naszyjników. Nosiła bursztyn, faktycznie go lubiła i miksowała z innymi rzeczami, ale część jej biżuterii była również bakelitowa.

Jak najprościej sprawdzić, czy coś jest prawdziwym bursztynem?

Najuczciwsza odpowiedź brzmi: sprzedawca nie jest w stanie dać państwu stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy i laboratoria. W Polsce takim miejscem jest laboratorium bursztynu Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników w Gdańsku, nadzorowane przez naukowców. To bardzo ważne, bo istnieją też labo-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aleksandra Harasiuk, była dyrektorka Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników, konsultantka biznesowa

ria, które nie są prowadzone w taki sposób, a badania wykonują samozwańcy rzeczoznawcy, którzy mogą potwierdzić właściwie wszystko. Każdy może więc wysłać wyrób albo pojechać do Gdańska i sprawdzić, czy ma do czynienia z bursztynem naturalnym, bursztynem modyfikowanym czy imitacją. Oczywiście można też wiele wyczytać z koloru i wyglądu. Stowarzyszenie Bursztynników opublikowało na ten temat sporo artykułów: o tym, czy zielony bursztyn jest naturalny, czym jest bursztyn koniakowy z charakterystycznymi pęknięciami w środku, który wielu osobom wydaje się naturalny. Literatura jest bardzo bogata. Mam duży szacunek do sprzedawców, ale to nie są osoby, które powinny być źródłem stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy gemmologiczni. Wielu sprzedawców chce doradzić jak najlepiej, ale wiedza na temat bursztynu w różnych miejscach bywa bardzo różna. Czasem niestety wprowadza kupujących w błąd.

Chciałabym zapytać także o ciemną stronę bursztynu: przemysł, nielegalne wydobycie,

cie, szarą strefę. Jak to wygląda?

To nie jest szara strefa. To jest czarna strefa, czyli przestępstwo. Przemysł jest przestępstwem. Nielegalne wydobycie jest przestępstwem. Wprowadzanie na rynek imitacji bursztynu jako prawdziwego bursztynu również jest oszustwem. Zdarza się na przykład, że producent kupuje worek surowca, a ktoś celowo dorzuca do niego imitację. To także jest przestępstwo. Trzeba spojrzeć na prawo, które obowiązuje w Polsce. Z kwestiami wydobywczymi ma do czynienia między innymi Ministerstwo Klimatu i Środowiska, te przepisy nie regulują jednak wszystkiego w sposób idealny. Jeśli ktoś ma własną działkę i zaczyna tam kopać bursztyn na swój użytek, powinien mieć zgodę odpowiedniego urzędu na prace wydobywcze. Czy wszyscy ludzie w Polsce to robią? Nie wiem. Czy zawsze jest to traktowane jako przestępstwo? To też nie jest takie proste. Przestępstwem było natomiast to, co działo się w szalonych latach 90., w pierwszej fali bardzo agresywnego kapitalizmu. Wtedy wiele grup przestępczych, korzystając

z braku regulacji i chaosu prawnego, rozkopywało lasy, plaże i różnego rodzaju działki bez żadnych pozwoleń. Zostawiano po sobie zniszczone tereny, które stawały się zagrożeniem dla ludzi, zwierząt, roślin i drzew. To były działania przestępcze. Wydaje mi się, choć nie jestem policjantką ani osobą pracującą w służbach, które to śledzą, że w Polsce na taką skalę właściwie już się tego nie robi. Mamy większą świadomość i wiemy, że grożą za to kary. Natomiast do Polski bursztyn nadal się przemycą. Sprawdzałam informacje z bilansu złóż kopalni w Polsce, publikowanego przez Państwowy Instytut Geologiczny. Są tam również dane służb celno-skarbowych. W latach 2015-2023 udaremniono w Polsce przemysł 18 ton bursztynu.

Stara się Pani o to, aby w Polsce powstał Instytut Bursztynu. Po co nam taki instytut?

Jestem jednoosobową lożybystką tego tematu. Spotkałam się już z kilkoma ministrami i przedstawicielami ministerstw, bo, jak wspomniałam, bursztyn to nauka, kultura, gospodarka i dyplomacja. W Polsce bursztynem zajmuje się

na co dzień dziewięć ministerstw i dwie kancelarie. Kancelarie dlatego, że przekazują bursztyn jako prezent dyplomatyczny. Dobrze byłoby więc, żeby wiedziały, jakiej jakości bursztyn przekazują. Muzea zajmują się bursztynem, bo kupują obiekty do swoich kolekcji. Ostatnia duża transakcja to 650 tysięcy euro za obiekt zakupiony przez Muzeum Bursztynu w Gdańsku, które jest instytucją samorządową miasta Gdańska. Instytut Bursztynu byłby dla mnie miejscem, które zrzeszałoby naukowców z całego świata zajmujących się bursztynem bałtyckim. To oni mogliby ustalić coś na kształt diamentowych 4C, czyli wspólną klasyfikację jakości bursztynu, którą stosowałyby różne kraje. Muszą to zrobić naukowcy, bo w bursztynie ocena wartości działa inaczej niż w diamentach. W diamentach inkluzje przeszkadzają, są traktowane jako nieczystość. Diament powinien być czysty. W bursztynie jest odwrotnie: inkluzja może podnosić wartość bryłki. Jeżeli w bursztynie znajdziemy bardzo rzadki okaz fauny albo flory, jego wartość rośnie. Przykładem jest jaszczurka zatopiona w bursztynie - niezwykle rzadka i cenna inkluzja. W bursztynie najczęściej zachowują się owady, pajęczaki czy fragmenty roślin, a drobne gady należą do prawdziwych unikatów. Taki instytut mógłby więc uporządkować chaos w ocenie bursztynu. Po drugie, archiwizowałby wiedzę, która jest dziś rozproszona między wieloma dziedzinami nauki. Po trzecie, dzieliłby się tą wiedzą ze światem. A świat tej wiedzy potrzebuje. Bardzo aktywne są dziś rynki azjatyckie, szczególnie Chiny, oraz rynki arabskie. W handlu bursztynem i obiektami z bursztynu obraca się tam ogromnymi pieniędzmi. Ale często brakuje instytucji, do której można się zwrócić po rzetelną, państwową, naukową ekspertyzę.

Chodzi więc nie tylko o promocję bursztynu, ale też o bezpieczeństwo rynku?

Tak jest. Mamy dziś bardzo palący problem: nie ma prawnego uregulowania czynności zawodowej rzeczoznawcy jubilerskiego, nie tylko od bursztynu, ale w ogóle od biżuterii, zegarków, diamentów czy kamieni szlachetnych. Cały luksusowy rynek w Polsce funkcjonuje w dużej mierze dzięki rzeczoznawcom, którzy są samozwańcy. Teoretycznie dziś mogą się obudzić i powiedzieć: jestem rzeczoznawcą bursztynu. Mogę pójść do galerii sztuki albo muzeum i zaproponować, że będę pomagała wyceniać obiekty. Nie ma regulacji, a to może rodzić ogromne konsekwencje. Złazcza gdy mówimy o rzeczach bardzo drogich, kupowanych za pu-

bliczne pieniądze. Kolejna sprawa to konserwacja. Nie mamy wyspecjalizowanego ośrodka konserwacji artefaktów bursztynowych. Rosjanie mają to bardzo dobrze opanowane. Tymczasem bursztyn, przez swoje właściwości fizyczne i kruchość, a także przez niewłaściwe warunki ekspozycji, może ulegać zniszczeniu. Jeśli muzeum kupuje obiekt za ogromne pieniądze, musimy mieć zaplecze chemiczne i konserwatorskie, które pozwoli go zabezpieczyć. Konserwujemy przecież wszystkie inne zabytki. Bursztyn także tego wymaga, dlatego Instytut Bursztynu nie byłby tylko miejscem promocji. Byłby centrum nauki, klasyfikacji, ochrony rynku, ekspertyz, konserwacji i archiwizacji wiedzy. Potrzebujemy takiego zaplecza, jeśli naprawdę chcemy traktować bursztyn jako nasze dziedzictwo.

Czytałam, że nasz bursztyn cieszy się ogromnym powodzeniem w krajach arabskich. Dlaczego?

To są historie znane od tysięcy lat. Bursztyn trafił na tamte rynki już bardzo dawno temu. Peter Frankopan pisał o tym w „Jedwabnych szlakach”, także w kontekście dawnych szlaków niewolniczych. Według tych opisów bursztyn był przewożony razem ze Słowianami, którzy trafiali na tamte rynki jako niewolnicy. Był zupełnie inny niż znane im materiały wykorzystywane do zdobnictwa. A człowiek od tysięcy lat fascynował się tym, co świeci, co jest piękne, niezwykle, inne. Bursztyn ma też tę właściwość, że kiedy bierze się bryłkę do ręki, ona jest ciepła. Zachowuje się inaczej niż zwykłe minerały. To działało na wyobraźnię. Kiedy pojawiły się religie i modlitwa, bursztyn zaczął funkcjonować również jako materiał do przedmiotów religijnych. I dlatego dzisiaj jednym z najcenniejszych akcesoriów dla męczczyzn w krajach Bliskiego Wschodu są mużułmańskie różańce, czyli prayer beads. W krajach arabskich, zwłaszcza w sześciu państwach Rady Współpracy Zatoki Perskiej, mężczyźni potrafili wydawać na nie ogromne pieniądze. Bursztyn z Polski jest tam traktowany jako synonim super-luksusowego materiału. Nawet mniejsi kolekcjonerzy potrafili mieć po kilkaset takich różańców. Na bazarach, gdy wisi różaniec z bursztynu i jest przy nim informacja „made in Poland”, jego cena jest wyższa. Ich podejście do bursztynu to w ogromnej mierze właśnie zakup prayer beads, czyli kulek do modlitwy. W islamie odmawia się 99 imion Allaha i trzeba je sobie odliczać. Chrześcijaństwo później zaadaptowało podobną formę do własnych róż-

zańców. U nas różańce chrześcijańskie są dziś używane coraz rzadziej, natomiast w krajach arabskich te bursztynowe kulki nadal funkcjonują bardzo mocno. Rozmawiam z młodszyimi kolekcjonerami i widzę, że dla nich coraz częściej jest to także atrybut luksusu. Przeciętny bogaty Arab ma bardzo dobry zegarek, bardzo dobry samochód, czyli kluczyki do niego, i właśnie bursztynowy różaniec. To są trzy rzeczy, bez których nie wychodzi z domu.

Ma Pani pomysł, żeby odczarować bursztyn z wizerunku staromodnej zawieszki? Jak pokazywać go jako nowoczesny design, coś wartościowego i jednocześnie opowieść o Polsce?

Ale ja nie chcę odczarowywać bursztynu - niech on zostanie zaczarowany. Niech ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata. Niezależnie od tego, czy mówimy o surowej bryłce, czy o obrobionym bursztynie. Jeśli chodzi o biżuterię, czyli już konkretne wyroby z bursztynu, wszystko zależy od świadomości, ale też od odpowiedzialności producentów. Mamy wielu twórców, którzy robią fantastyczny, nowoczesny design. Taki, w którym gdyby w miejsce bursztynu włożyć szafir, nadal byłaby to piękna biżuteria. Ale są też przedsiębiorcy, którzy traktują bursztyn jak tani surowiec i oprawiają go w tani design. Bez dobrego wzornictwa, bez myślenia o tym, czym dzisiaj może zachwycić współczesnego miłośnika biżuterii. Dlatego potrzebne są dwie rzeczy. Po pierwsze, świadomość klientów: co kupują i dlaczego kupują bursztyn. Po drugie, odpowiedzialność projektantów i producentów, żeby pokazywać bursztyn w sposób nowoczesny, ciekawy, atrakcyjny. Takie działania podejmowaliśmy w Stowarzyszeniu. Jeździliśmy po świecie i pokazywaliśmy wyroby designu oraz twórców, którzy naprawdę robią fantastyczne rzeczy. Staraliśmy się też lokować bursztyn w filmach i serialach dzięki współpracy z kostiumografami. Bursztyn pojawił się między innymi w filmie „Miłość na pierwszej stronie” Marii Sadowskiej czy w serialu Polsatu „Bracia”, którego część zdjęć realizowano w Gdańsku i Trójmieście. Chodzi o to, żeby dzisiejszy klient zobaczył, że bursztyn nie musi być wielką, ciężką zawieszka znaną z dawnych lat - może być elementem bardzo dobrej, współczesnej biżuterii.

MIETEK SZCZEŚNIAK: SKŁADAMY SIĘ Z CIAŁA I DUSZY, TRZEBA WIĘC NAKARMIC JEDNO I DRUGIE

Niektórym mogło się wydawać, że gdzieś zniknął, ale to nieprawda. Nagrywał i koncertował za oceanem. Teraz przywiózł stamtąd nową płytę – „Brothers”. Nam opowiada o swej równie wielkiej pasji jak śpiewanie – o sadownictwie

Patryk Gzył

Pana dokonania z ostatnich lat wskazują, że równie często co w Polsce pracuje pan w Stanach Zjednoczonych. Jak to możliwe?

A normalnie: jak zamykają się drzwi, to otwiera się okno. (śmiej) Lub inaczej - kiedy coś dzieje się przypadkiem, to podobno Pan Bóg występuje incognito. Tak mawiają mądrzejsi od nas. Jakiś czas temu spotkałem się z amerykańską wokalistką i producentką Wendy Waldman na wymianie artystycznej ze Stanami Zjednoczonymi. Powstał pomysł, żeby twórcy polskich i amerykańskich piosenek napisali coś razem. I Wendy, znana na świecie choćby z piosenki „Save The Best For Last” Vanessy Williams, zaznała współpracy ze mną (śmiej). Zdarzyło się nam tak, że przez dwa dni zrobiliśmy trzy piosenki po angielsku. Mówiąc potocznie - zażarło między nami.

Wendy Waldman jest cenioną artystką z kręgu folku i country. Panu raczej bliższy jest soul, funk i gospel. Jak znaleźliście tak dobre porozumienie? Wendy prezentuje szerszy sposób myślenia o amerykańskiej muzyce, jak Bob Dylan czy Joni Mitchell. Ma otwarty umysł, jest z pokolenia dzieci kwiatów, kocha jazz, bluesa i rock and roll. Uprawia folk i pop pod szyty innymi stylami. Dopiero będąc w USA przekonałem się, jak wielu jest wirtuozów wśród muzyków folk, country czy bluegrass. To naprawdę wybitni instrumentalisci i wokaliści. Pracowaliśmy z Wendy sporo, poszło nam naprawdę snadnie i owocnie. Nagraliśmy z tych naszych spotkań płytę „Signs” w 2011 roku. A potem przyszedł czas na album z chórem Life Choir z Los Angeles pod wodzą H.B. Barnuma.

To też znamienita postać i tym razem zdecydowanie panu bliższa.

Bezsprzecznie. Zaprzyjaźniłem się z nim, zanim doznałem wiedzy, z kim pracował i pracuje. Bo przez ponad 30 lat był kierownikiem muzycznym zespołu Arethy Franklin, a wcześniej produkował dla legendarnej wytwórni Motown nagrania takich wykonawców, jak Frank Sinatra, Ray Charles, Gladys Knight, The Jacksons 5. Nie miałem pojęcia, że to taka znamienita postać, bo przed naszym spotkaniem pewnie tak by się skończyło, że musiałbym zmieniać pieluchę. (śmiej)

Jak to się stało, że tacy uznani muzycy zechcieli pracować z wokalistą z Polski?

Ja z końca drogi i jeszcze na lewo spotkałem tam dwa światy: Wendy z amerykańskiego folku i H.B. Barnuma z soulu i gospel. Oni teraz razem współpracują, robią fajne rzeczy, a ja się cieszę ich przyjaźnią. Naprawdę mam tam w Los Angeles rodzinę. I właściwie mogę śmiało powiedzieć, że pracuję na dwóch kontynentach. Ostatnią swoją płytę „Nierówni” z wierszami ks. Jana Twardowskiego do moich kompozycji w stylu samby i bossa novy zrobiłem z Brazylijczykami w Stanach Zjednoczonych. Taką możliwość daje ten kraj, bo to mozaika kulturowa, największy eksperyment na ludzkości. Jeśli chcesz nagrać płytę z Brazylijczykami - to ją nagrywasz. Jeśli chcesz nagrać gospel z Afroamerykanami - też możesz. No i skorzystałem z tej okazji, bo sprzyjali mi ludzie, których tam poznałem. Oni pokochali mnie, a ja ich. Rzadko się zdarza taka przyjaźń na życie, szczególnie w średnim wieku. Cieszę się więc nią, tym miejscem, tymi możliwościami. Oni są starsi ode mnie,

ale mamy takie same pasje, tak samo kochamy muzykować i mamy coś, co jest najważniejsze, bo daje wewnętrzną radość - pasję oraz ciekawość odkrywania świata i człowieka. To jest coś niezależnego od wieku i narodowości. Niby skorupka się starzeje, a ta kwintesencja życia ciągle się żarzy i tętni.

Tym razem nagrał pan singiel z zespołem Wendy - The Refugees. W Ameryce określa się go supergrupą, bo wchodzi w jego skład znane tam osobowości.

To właśnie „Everybody Body And Soul” - pierwszy singiel zrobiony z nimi. Cidny Bullens grała z Eltonem Johnem czy Bobem Dylanem i nadal cieszy się ich przyjaźnią. To nietuzinkowa postać. Deborah Holland tworzyła z kolei w zespole Animal Instinct ze Stewartem Copelandem z The Police. Obie ciągle nagrywają płyty, piszą świetne piosenki, są aktywnymi artystkami. W naszym mieszczańskim podejściu do życia uważa się, że kiedy ktoś przekroczy pewien wiek, to jest już mało zdolny do wysnucia energii ze świata. A to jest niezależne od wieku, ale od pasji i ognia.

Ten ogień słychać w piosenkach z płyty „Brothers”, które odwołują się do bluesa, soulu i funku. Co pana tak fascynuje w tej muzyce?

Stało się to dzięki Jadwidze Skolarskiej z Polskiego Radia, która puszczała fajne płyty. Nie było wtedy internetu i nie mieliśmy dostępu do muzyki z Zachodu. Czasem tylko pojawiały się w sklepach rzadziej reedycje The Beatles, zrobione na podstawie podobno kradzionych materiałów. (śmiej) Kiedy usłyszałem Arethę Franklin z czarnoskórym chórem - doznałem

ośnienia. Że jest taka wspólna muzyka, że są ludzie, którzy tak cudnie śpiewają, mają niesamowitą barwę głosu i ekspresję, że złożenie melodyki i harmonii, kompozycji i rytmu może być podane na wiele sposobów. Przeszła mi wtedy ochota na bycie śpiewakiem operowym, do czego pragnęła mnie przygotować moja nauczycielka - pani Lidia Małachowicz. Twierdziła, że jestem diamentem operowym i zdobędę sceny świata, ale ja byłem głodny większej ilości harmonii i rytmu. I to mi zostało: ciągle podziwiam muzykę, która powstała w wyniku spotkania białego i czarnego człowieka. Tak narodził się najpierw spirituals, potem gospel, blues, soul, funk i inne. Muzyka wyciekła z czarnych kościołów do popu i protestanccy pastory mieli o to pretensję, że stała się świecka. A to przecież oni zaczęli rap podczas swych kazań. (śmiej) Poznanie tego wszystkiego na własne oczy to jedna z największych przygód mojego życia.

Zaśpiewanie tych piosenek z afroamerykańskim chórem musiało być więc dla pana poruszającym przeżyciem.

Tak. Ale tu nie chodzi o snobowanie się na jakieś gwiazdy, tylko o spotkanie tej kultury na żywo i uczestniczenie w niej. Na dodatek oni czasem zadawali mi pytanie: „Jakbyś chciał, żeby chór zaśpiewał?”. Myślałem sobie wtedy: „Aha, coś tu nie gra. Chyba sobie jaja ze mnie robią”. (śmiej) A chodziło o rodzaj szacunku, jaki do mnie mieli. Zresztą ja mam podobne podejście - jak jest talent, to trzeba za niego podziękować i dobrze go wykorzystać, bo samemu się go nie wymyśliło, nie ma więc powodu, żeby zadzierać nosa. Trzeba tylko

Gazeta Lubuska
Piątek, 5.06.2026

dobrze zadziałać i być za to wdzięcznym.

Ci uznani artyści z Ameryki byli zdziwieni, skąd w białym człowieku z dalekiej Polski taki czarny głos?

Oni spotykają bardzo wielu utalentowanych ludzi, bo przecież Ameryka jest największym eksperymentem na ludzkości. Tam każdy pochodzi z dziesięciu nacji, ras i kultur. Dlatego nie jest trudno w Ameryce spotkać utalentowanego człowieka. Stąd miałem obiekcje, żeby nagrywać coś po angielsku. Jeszcze przed nagraniem „Signs” mówiłem do H.B. Barnuma: „Jaki to ma sens? Przecież ja mam uszy i świadomość, ilu wspaniałych artystów mieliście, macie i mieć będziecie u siebie. Po co jeszcze ja? Po co drewno wozić do lasu? Ja mam swoją piękną publiczność w Polsce”. A on mi na to: „Mietek, ja cię zachęcam, bo mnie nie obchodzi, jak ty wyglądasz czy skąd pochodzisz. Mnie obchodzi to, że ty opowiadasz językiem, który zrozumie każdy człowiek na Ziemi - mówisz językiem duszy”. To było dla mnie wprost przejmujące. Przecież każdy z nas potrzebuje potwierdzenia swojej wartości i sensu tego, co robi, szczególnie od swego mentora, którym stał się dla mnie H.B. Barnum. A nie brakowało w Polsce takich, którzy mówili: „A ten to naśladuje Murzynów” albo „A ten to wyśpiewuje jakieś piosenki o Bogu, to trzeba go skasować”. Nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy tak myślą. Jeżeli składamy się z ciała i duszy - trzeba nakarmić jedno i drugie, bo dopiero wtedy opowiadamy o całym człowieku.

Co sprawiło, że piosenki z płyty odwołują się do brzmień z przełomu lat 60. i 70.?

W tym zalewie elektroniki i nudnawych kompozycji już najwyższy czas, by posłużyć się prawdziwym podejściem do muzykowania, czyli graniem praktycznie na żywo w studiu. Ludzie, instrumenty, głosy. To zupełnie inna wibracja, inne nasycenie emocją. Dzięki temu ta muzyka może skrócić dystans z głowy do serca i na odwrót.

Teksty piosenek z „Brothers” mają pozytywne przesłanie, nawołujące do wewnętrznej przemiany. Taki przekaz w naszych mrocznych czasach jest dla pana ważny?

Bardzo. Myślę, że zmiana świata zaczyna się od zmiany samego siebie i zmiany tych, których kochamy. Bo jeśli jest już dwoje ludzi, którzy tak samo myślą, to kolejna ilość tych dwojerek daje masę, która może coś naprawdę zmienić.

Mówił pan o „Brothers” już od dłuższego czasu. Trudno było wydać ten materiał w Polsce?

(śmiej) Nagrałbym w swym życiu chyba dwa razy więcej płyt, gdybym z wydaniem każdej nie miał tylu trudności. Taką mamy infrastrukturę, takich mamy wydawców, takie mamy media. Nie tylko ja mam takie trudności, ale wielu innych artystów, którzy starają się opowiedzieć swoją historię własnym językiem. Między nami a publicznością są media i wydawcy. Jeżeli oni stają okoniem, to ludzie nie są w stanie dowiedzieć się, co robimy. Nie ważne, czy płyta jest po angielsku, czy o ciebie, czy o duszy, czy może razem wszystkich. To kwestia niesprawnie działającego systemu.

Mimo tych kłopotów z mediami i wydawcami, w zeszłym roku zaczął pan obchody czterdziestolecia swej kariery. Trudno utrzymać się tyle czasu w show-biznesie?

Mnie się udało, bo dostałem największą nagrodę, jaką artysta może dostać - czyli uwagę publiczności. Zagościłem na dobre w jej wyobraźni. Mimo dziur w swojej obecności w polskim życiu artystycznym, ludzie chcą mi towarzyszyć. Na moich koncertach bywają dziś trzy pokolenia. A to dlatego, że dla mnie nie muzyka była najważniejsza, ale przesłanie. To, co powoduje, że człowiek obcując z piosenką, zostaje zainspirowany do ważniejszych rzeczy niż ta piosenka. Nigdy nie chciałem ludzi frustrować, dodawać do tego świata wynurzeń na temat własnego smutku. Chciałem raczej wspierać i pomagać. I myślę, że mi się to po części udało. Mam tego przykłady w pięknych listach i rozmowach podczas podpisywania płyt po koncertach.

Przepustką do kariery stało się dla pana zwycięstwo w Opolu w 1985 roku. Nie było to takie oczywiste, bo zaśpiewał pan trudną piosenkę Krzesimira Dębskiego z tekstem Jacka Cygana - „Przyszedł o zmroku”. Organizatorzy uprzedzali, że ma być lekko, łatwo i przyjemnie, a ja wybrałem jazzową kompozycję z zaangażowanym społecznie tekstem. Obawiałem się, że mogę zostać wygwizdany - tymczasem okazało się, że dzięki jury wygrałem „Debiuty”. Cieplą przyjęła tę poważną piosenkę również opolska publiczność. A było to na cztery lata przed tym, jak ogłoszono w Polsce koniec komuny. Okazało się jednak, że jeżeli nikomu nieznanemu człowiek zaśpiewa z całego serca i na pełnym gazie, to widownia jest w stanie to odebrać i nagrodzić bisem. Tak też się stało i dostałem lekcję, że nie ma co chodzić na głupie skróty, podlizywać się i robić coś pod publiczność, tylko trzeba tworzyć swoje rzeczy, bo znajdują się ludzie, którzy za tym pójść i to docenią. I za to bardzo dziękuję publiczności.



FOT. PAWEŁ TRZESNIEWSKI

Mietek Szczęśniak: Myślę, że zmiana świata zaczyna się od zmiany samego siebie i zmiany tych, których kochamy

Potem występował pan w Opolu, Sopocie i nawet w Zielonej Górze. A z drugiej strony śpiewał pan też na Jazz Jamboree. Gdzie czuł się pan na właściwym miejscu?

Ja w ogóle nie przepadam za konkursowymi festiwalami. Bo to jest nie wiadomo co: zbiorowisko ludzi, którzy nie wiedzą, na co przychodzą, a do tego każdy ma swój gust, z którym się nie dyskutuje. Najbardziej lubię spotkania z publicznością, która wie, na co przychodzi i dla której mogę zrobić opowieść o tym, jak widzę świat i jak mogę sobie i innym pomóc, bo to jest możliwe dzięki muzyce. Najbardziej prestiżowy był dla mnie występ na Jazz Jamboree w rok po debiucie. Ot, nikomu nieznany młodzian zaśpiewał na jednej z najważniejszych scen w całej Europie. Na ten festiwal przyjeżdżała bowiem świetna i świadoma publiczność. W 1986 roku wystąpiłem na Jazz Jamboree dwukrotnie – z grupą Walk Away oraz ze Sławomirem Kulpowiczem w międzynarodowym składzie na czele z Alice Coltrane. To było dla mnie wielkie wydarzenie. Zacząłem wtedy nazywać

siebie śpiewakiem, bo to dla mnie najlepsze określenie. Śpiewałem bowiem na festiwalach popowych, jazzowych, religijnych, poetyckich i muzyki współczesnej.

W powszechną świadomość Polaków wbił się pan duetem z Edytą Górniak w „Dumce na dwa serca”. Jacek Cygan powiedział kiedyś o tej piosence: „Edyta z Mietkiem wzniesli się tu na wyżyny sztuki wokalne”. Zgodzi się pan?

Nie wiem. Może mogliśmy to lepiej zaśpiewać? (śmiech) Ten duet to zasługa wytwórni EMI, dla której wtedy oboje nagrywaliśmy, bo to ona wybrała akurat nas do tej piosenki. A my oboje chętnie podeszliśmy do tego zadania. Kocham różne gatunki muzyczne i staram się wiernie odtwarzać to, co jest dla nich charakterystyczne. Lubię również słowiańszczyznę. Nie wiedziałem jednak, że ta piosenka będzie miała taki oddźwięk. Powstaje przecież wiele utworów, o których ludzie nawet nie mają pojęcia, bo nie ma ich w publikacjach. Gdyby taką „Dumkę” nagrać na którąś z naszych płyt, a nie byłaby wizytówką filmu

„Ogniem i mieczem”, to raczej nie zaistniałaby w wielu radiach, szczególnie tych komercyjnych. Tymczasem okazało się, że trącenie tej słowiańskiej struny sprawiło, iż ludzie pokochali ten utwór aż tak, że ponoć był najdłużej na wszystkich listach przebojów w Polsce.

Podobno nagrywaliście tę piosenkę z Edytą osobno. To prawda?

Nie. Nagrywaliśmy razem. Po prostu tylko były nanoszone osobno.

W 1999 roku reprezentował pan Polskę na Eurowizji z utworem „Przytul mnie mocno”. Po latach wyznał pan: „Pojechałem tam z czymś, co mnie nie odzwierciedlało”. Jak to się stało?

Najpierw powstała piosenka, a potem został do niej wybrany wokalista. Tak zdecydowała wtedy telewizja. Eurowizja nigdy nie była moim ulubionym festiwalem, bo nie lubię konkursów. Artyści to nie sportowcy, a z gustami się nie dyskutuje. Każdy powinien hołdować takiej muzyce, jaka mu się podoba, a drugi powinien to szanować. Wcześniej wygra-

łem cztery duże europejskie festiwale, ale nie było tam półkamery i nikt tego nie pokazał. Na Eurowizji było za to mnóstwo kamer – a ja akurat zająłem niespektakularne miejsce. (śmiech)

Nie odpowiadała panu ta piosenka?

Piosenka jest fajna, w stylu Seweryna Krajewskiego. Ale nie na takie czasy i nie na Eurowizję. Tam inne rzeczy są w cenie. Zresztą wszyscy wiedzą, że to manipulowany konkurs. Nie mówię tu o sobie. Ciągłe nie wierzę, że Alicja Szemplińska dostała od widzów tylko siedemnaście punktów. (śmiech)

W międzyczasie mocno zaangażował się pan w tworzenie sceny muzyki chrześcijańskiej w Polsce, występując z zespołami New Life M, Deus Meus i TGD. Śpiewanie gospel było ważne w pana karierze?

Bardzo ważne. Choć okazało się, że w Polsce płaci się za to niespodziewanie wysoką cenę.

Czyli?

Czyli odrzucenie. Mieszkiałem wtedy w Krakowie przy Placu Wolnica i nagle okazało się, że media i wydawcy, którzy bądź co bądź są polską inteligencją, zareagowali odrzuceniem mnie za przekroczenie tego, co jest od nas większe. Moje nagrania są rodzajem dziennika, który jest upubliczniony. Są wyrazem moich fascynacji i zainteresowań. A ponieważ najbardziej sobie cenię wolność w każdej dziedzinie życia, to zawsze robiłem to, co chciałem. Nie lubię, kiedy ogranicza się jednostkę, która nie chce być ograniczana. Tym bardziej, kiedy ma zdolność wykreowania czegoś, co jest charakterystyczne. Na tym przecież polega działanie artystyczne. Miałem więc szczęście robić to, co chcę, ale było to jakoś dziwnie oceniane.

Czyli ta silna obecność na scenie muzyki chrześcijańskiej zaszkodziła pana karierze w muzycznym mainstreamie?

Oczywiście. Nawet bardzo. Do dziś płacę za to cenę. Wydawcy nie chcieli mnie wydać, a radia nie chciały mnie grać z tego powodu, że niby zajmuję się działalnością religijną. A ja nie to miałem na myśli. Dla mnie człowiek składa się z ciała i duszy, dlatego trzeba opowiadać o obu tych sferach. I tak się starałem. Muzyka była ciałem, a słowa były duszą.

Kiedyś powiedział pan: „Bóg sprawia, że jestem lepszym artystą”. Jak to działa?

Jeżeli szukasz czegoś, co jest od ciebie większe w sensie dobra, piękna i prawdy, to poszerzasz swoją świadomość i staryś się być lepszy niż jesteś. Ma to bezpośredni wpływ na to, co robisz. Skoro zmiana świata ma zaczynać się od zmiany siebie,

być może to jest właśnie najlepsza droga. Zwracając się ku Bogu, rozwijasz zarówno ciało, jak i duszę, pasiesz całego człowieka. To nie jest nic odkrywczego. Robiło to wielu artystów przede mną. Cała historia muzyki, literatury, architektury, malarstwa, rzeźby jest pełna twórców, którzy inspirowali się duchowymi rzeczami. Albo którzy mieli za to zapłacone. (śmiech)

W jednym z wywiadów wyznał pan: „Chciałem niegdyś wycofać się z zawodu. Uznałem, że będę zarabiał na życie w inny sposób”. Z czego to wynikało?

Z tego, że przez całe swoje życie mam problemy z wydaniem każdej płyty. Trzeba więc mieć końskie zdrowie, by się uprzeć i ciągnąć to ponad czterdzieści lat. W pewnym momencie musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy właśnie po to zostałem wymyślony. Wydawcy i radiowcy są zblazowaną publicznością, mają za dużo muzyki i własne gusta. Tymczasem artyści tworzą dla ludzi, którzy naprawdę tego potrzebują. Publikatory jednak tego nie wiedzą, bo tego nie badają. Dlatego jest wielu wspaniałych wykonawców, którzy borykają się z takimi samymi problemami jak ja.

Ponoć to Irena Santor odwiedziła pana od zamiaru porzucenia zawodu. Jak to się stało?

Powiedziała, że sobie nie życzy, abym zrezygnował ze śpiewania, bo na moje miejsce wyrośnie dziesięć chwastów. (śmiech) Dodała przy tym coś, co mnie najbardziej przekonało: że kiedyś na czele każdej redakcji muzycznej stali ludzie, którzy byli muzykami, a dziś przeważnie są to biznesmeni, którzy traktują ją jak prywatny folwark. Kierują się własnym widzimisię, zamiast dawać możliwość wyboru publiczności. „Są wśród nich ludzie, którzy nie mają pojęcia, co pan robi. Nie mają nawet narzędzi, by ocenić to, jak pan śpiewa. Ich to nie interesuje i nie mają takiej wiedzy” – powiedziała mi. Pomyślałem wtedy: „Czy zostałem do tego wymyślony i to jest moje zadanie?”. Bo przecież każdy z ludzi ma zadanie życiowe i powinien to odkryć. I po namyśle stwierdziłem: „Tak. To jest moje zadanie. I żeby skały sikały, będę to robił bez względu na powodzenie, popularność i ilość pieniędzy na koncie”.

Nigdy nie myślał pan, żeby nagiąć się do wymagań i trendów rynku, żeby lepiej się panu powodziło?

Patrząc na gusta publikatorów, to nie bardzo. (śmiech)

Dzisiaj tyle samo radości co muzyka daje panu sadownictwo. Jak pan odkrył tę pasję?

To właściwie nie sadownictwo, a dendrologia. Drzewa są bowiem dla mnie niezwykłym

wykwitem przyrody. To dla mnie metafora tego związku między ciałem a duszą. Bo jeśli zasiejesz małe ziarno, a po 25 latach wyrośnie ci według własnego widzimisię wielki „potwór”, to czujesz się do niego przywiązany, jest dla ciebie jak twoje dziecko. U mnie z pustego pola powstał ogród pełen drzew, który wygląda jakby taki był zawsze. Kiedyś powiedziałem do przyjaciół, zapraszając ich na urodziny: „Nie przywoźcie drogich i niedrogich pierdół, tylko sadzonki drzew. Posadźmy je i będziemy mieli wieczną pamiatkę”. I tak się też stało.

Co daje panu takie bliskie obcowanie z naturą?

To samo, co obcowanie z afroamerykańskim chórem, kiedy razem ćwiczymy, nagrywamy czy dajemy koncert w Los Angeles. Albo kiedy idziemy razem poucztować i zjeść coś w knajpie o barwnej nazwie „Dirty South”. To dla mnie wielki przywilej i przygoda. Tak samo jest z moim ogrodem. Te drzewa i krzewy, którymi opiekuję się już 25 lat, są dla mnie jak rodzina. Kiedy gdzieś wyjeżdżam, to za nimi tęsknię. A gdy wracam, gadam z nimi i ustaliam różne rzeczy. (śmiech)

Kiedy w zeszłym roku pojawił się pan w Opolu, aby odsłonić swą gwiazdę w Alei Gwiazd, wszyscy byli zachwyceni, że tak świetnie pan wygląda. To zasługa pracy w sadzie?

Bezwzględnie. Udało mi się zbić wagę, bo niegdyś trochę się zapuściłem. Jestem dwudziestoletnim cukrzykiem i zrobiłem to więc przede wszystkim dla zdrowia. Ale widzę, że przełożyło się to na inspirację dla innych.

Nie założył pan rodziny. Nie czuje się pan czasem samotny na tej swojej posiadłości?

Nie. Moi roślinni towarzysze są dla mnie tak samo ważni, jak towarzysze ludzcy i zwierzęcy. Ktoś, kto ma sad czy ogród, wie, o co chodzi. Jestem człowiekiem, który nie czuje różnicy między różnymi przejawami życia, między człowiekiem a zwierzęciem czy rośliną. Nie trzeba przecież zawsze rozmawiać słowami. Wystarczy spojrzeć sobie w oczy. A ja wierzę, że drzewa też mają oczy.

Kiedyś zadeklarował pan: „Dopóki oddycham, będę śpiewać”. Zamierza pan dotrzymać tej obietnicy?

Oczywiście. Na pewno będę zawsze śpiewał dla siebie. Bo jak będzie marnie, to nie będę tego upubliczniał. (śmiech) Ale tak na serio: śpiew to moja życiowa pasja, coś jak oddychanie. Kocham to – i pewnie będę to robił, podobnie jak uprawiał ogród i malował obrazy, dopóki pozwoli mi na to ciało, czyli nasza marna skorupka.

REKLAMA 0011492021

maki SZCZEGÓŁY NA STRONIE: www.makiman.pl

A U CIEBIE BYŁ JUŻ MAKI MAN!?

3 x 3 x SPRZEDAŻ = PLUSZOWY MAKI MAN

SKUP TUCZNIKÓW MACIOR KNURÓW KAŻDA STREFA ASF **tel: 601-19-19-44**

REKLAMA 0011534437

OBWIESZCZENIE STAROSTY ZIELONOGÓRSKIEGO

Zgodnie z art. 11f, ust. 3 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych – zawiadamiam, że na wniosek Burmistrza Nowogrodu Bobrzańskiego, w dniu 26 maja 2026 r., została wydana decyzja zezwalająca na realizację inwestycji drogowej polegającej na rozbudowie drogi gminnej – ul. Warzywniej w Nowogrodzie Bobrzańskim, w obrębie ewid. 0002 Nowogród Bobrzański, w jednostce ewid. 080905_4 Nowogród Bobrzański-miasto.

W związku z powyższym informuję, że w terminie 14 dni od daty otrzymania niniejszego zawiadomienia – w Starostwie Powiatowym w Zielonej Górze, ul. Podgórna 5, pok. 108 – strony mogą zapoznać się z treścią decyzji.

REKLAMA 0011530921

INFORMATOR POGRZEBOWY

KAMIŃSCY Zielona Góra, ul. Kościelna 4, Zyty 19, tel. **693 424 440; 68-3230509** oraz Polkowice ul. Spokojna 1; Legnica ul. Chojnowska 7; Szprotawa ul. Kościuszki 31A przewóz zmarłych 24 godz., kompleksowa organizacja pogrzebów oraz transmisja pogrzebu online.

MIEJSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY
Zielona Góra, Masarska 13, tel. **68-3202235, 68-3202232**, przewóz zwłok, kompleksowa obsługa pogrzebów **601798365** całą dobę.

PRO MORTE Gorzów Wlkp. ul. Żwirowa 19E, tel. **95-7810083**
Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe 24 h.



REKLAMA



Na podstawie art. 13i ust. 3 pkt 8 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (Dz. U. z 2024 r. poz.1130, 1907 i 1940, z 2025 r. poz. 527, 680, 1668 i 1847 oraz z 2026 r. poz. 24) oraz w związku z Uchwałą Rady Miejskiej w Szprotawie Nr IX/49/2024 z dnia 25 października 2024 r. w sprawie przystąpienia do sporządzenia planu ogólnego Gminy Szprotawa, zawiadamiam o rozpoczęciu konsultacji społecznych dotyczących projektu planu ogólnego gminy Szprotawa wraz z prognozą oddziaływania na środowisko.

Konsultacje społeczne będą przeprowadzone w **terminie od 8.06.2026 r. do 7.07.2026 r.** i obejmą:

- 1) zbieranie uwag do ww. projektu planu ogólnego w **terminie od 8.06.2026 r. do 7.07.2026 r.**;
- 2) **I spotkanie otwarte** i dyżur projektanta odbędą się w siedzibie Urzędu Gminy w Szprotawie, ul. Rynek 45, 67-300 Szprotawa w dniu **24.06.2026 r. w godzinach 15:00-21:00** w Sali Rycerskiej (parter budynku);
- 3) **II spotkanie otwarte** i dyżur projektanta odbędą się w Świątlicy Wiejskiej w Lesznie Górnym, przy ul. Bolesławiecka 7, 67-321 Leszno Górne w dniu **25.06.2026 r. w godzinach 15:00-21:00**; ankietę w postaci elektronicznej, dostępnej na stronie Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Gminy Szprotawa: <https://bip.szprotawa.pl/800/> w zakładce: „Dokumenty strategiczne- Miejskowe Plany Zagospodarowania Przestrzennego” lub ankietę w postaci papierowej dostępnej w siedzibie Urzędu Gminy w Szprotawie, ul. Rynek 45, 67-300 Szprotawa, w ter-
- 4)

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne lub nekrolog?
Przez internet: ibo.polskapress.pl e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl
W Biurach Ogłoszeń:

ZIELONA GÓRA al. Niepodległości 25 czynne pon.-pt. 8.00-15.00 tel. 510 026 518 e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl	GORZÓW WLKP. ul. Sikorskiego 111 (Park 111, II p.) czynne pon.-pt. 8.00-16.00 tel. 510 026 986 e-mail: bog.gazetalubuska@polskapress.pl	SŁUBICE ul. T. Kościuszki 6/1 czynne pon.-pt. 8.30-16.30 tel. 95 75 80 760 e-mail: bos@gazetalubuska.pl
---	---	---

Nieruchomości GARAŻE SPRZEDAM garaż przy ul. Zawadzkiego Zielona Góra 695 462 480	Usługi MONTAŻOWE OKNA , bramy drzwi, roletki, naprawy okien, montaż PlastMat. Tel. 68 470 19 70, Wrocławska 35. OKNA - rolety. Montaż- regulacja- naprawa. Ptasia 32/7B, tel. 535 530 555 INNE STUDNIE głębinowe. Tel. 883 982 224	Turystyka KRAJ - GÓRY Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/ rencistów, tel 501-642-492. PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166 KRAJ - MORZE KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308	KOŁOBRZEG!!! Wczasy-Tanio. Tel. 94/354-36-65. ŁĘBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715. Matrymonialne WDOWA lat 70 pozna Pana (wdowca). Tel. 790640605. Różne KASA za stare książki 609-643-399
--	---	---	--

AUTOREKLAMA

motofakty.pl

Motoryzacja na wysokich obrotach **motofakty.pl**

REKLAMA 0011459133

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. **600 609 606**

Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

Cenimy Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

OGŁOSZENIE BURMISTRZA SZPROTAWY

minie **od 8.06.2026 r. do 7.07.2026 r.** (Biuro Obsługi Klienta, parter budynku)

Z projektem planu ogólnego oraz prognozą oddziaływania na środowisko można się zapoznać na stronie Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Gminy Szprotawa: <https://bip.szprotawa.pl/800/> oraz w siedzibie Urzędu Gminy w Szprotawie, ul. Rynek 45, 67-300 Szprotawa, w terminie **od 8.06.2026 r. do 7.07.2026 r.** w godzinach pracy urzędu (pokój nr 209, wejście boczne, II piętro), tj. poniedziałek w godz.: od 8 do 16, wtorek-piątek w godz.: od 7 do 15.

Zainteresowani mogą składać uwagi do projektu planu ogólnego jedynie przy użyciu wzoru formularza - pisma dotyczącego aktu planowania przestrzennego, zgodnie z Rozporządzeniem Ministra Rozwoju i Technologii z dnia 13 listopada 2023 r. w sprawie wzoru formularza pisma dotyczącego aktu planowania przestrzennego (Dz. U. 2023 r., poz. 2509), dostępnym na stronie Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Gminy Szprotawa: <https://bip.szprotawa.pl/800/> w zakładce „Dokumenty strategiczne - Miejskowe Plany Zagospodarowania Przestrzennego”. Uwagi są przyjmowane wyłącznie na formularzu o nazwie: „Wniosek dotyczący aktu planowania przestrzennego”. Uwagi mogą być zgłoszone na ww. formularzu w postaci papierowej w Urzędzie Gminy Szprotawa ul. Rynek 45, 67-300 Szprotawa w godzinach pracy Urzędu oraz korespondencyjnie na ww. adres lub w formie dokumentu elektronicznego wysłanego na adres: r.soppart@szprotawa-um.pl lub na adres do e-doręczeń: AE:PL-56446-96526-VWEFR-28 lub adres skrzynki ePUAP: / u0bbc5i471/skrytka

Uwaga musi zawierać dane wnioskodawcy, tj. imię i nazwisko lub nazwę, adres zamieszkania albo siedziby, adres poczty elektronicznej (o ile posiada), a także wskazanie nieruchomości, której wnioskodawca jest właścicielem lub użytkownikiem wieczystym, której uwaga dotyczy tj. adres lub numer działki i obrębu ewidencyjnego. Można również podać adres do korespondencji lub numer telefonu.

Uwagi niespełniające wymogów formalnych, w szczególności uwagi:

- złożone poza wyznaczonym terminem,
- niezłożone na ww. formularzu,
- niezawierające danych Wnioskodawcy,
- niezawierające czytelnego podpisu w przypadku wniosku w postaci papierowej pozostawione zostaną bez rozpatrzenia.

Informuję, że organem właściwym do rozpatrzenia złożonych uwag jest Burmistrz Szprotawy.

Ankietę w postaci papierowej można składać w Urzędzie Gminy Szprotawa ul. Rynek 45, 67-300 Szprotawa w godzinach pracy Urzędu: poniedziałek w godz.: od 8 do 16, wtorek-piątek w godz.: od 7 do 15.

Ankietę uzupełnioną, w formie elektronicznej należy wysłać na adres: ankietapog@szprotawa-um.pl lub na adres do e-doręczeń: AE:PL-56446-96526-VWEFR-28 lub adres skrzynki ePUAP: /u0bbc5i471/skrytka *Administratorem danych osobowych przetwarzanych w związku z realizacją zadań w zakresie planowania przestrzennego jest Burmistrz Szprotawy. Klauzula informacyjna dotycząca przetwarzania danych osobowych dostępna jest pod adresem: <https://bip.szprotawa.pl/800/>*

Burmistrz Szprotawy
/-/ **Mirosław Gąsik**

0011533716
Szprotawa 5.06.2026 r.

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą rozwiązanie: mądrość ludową.

ROZWIĄZANIE: PROZNO SIĘ TRUDZI, KTO NIE ZNA LUDZI.

Wiśniewski uratował Polaków przed porażką z Nigeryjczykami

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacji Polski ledwo udało się zremisować w meczu towarzyskim z Nigerią 2:2. Remis uratował strzałem życia Przemysław Wiśniewski w doliczonym czasie gry.

Postawa Biało-Czerwonych w spotkaniu z Afrykańczykami była bardzo słaba i gdyby nie bramka obrońcy Widzewa Łódź, atmosfera byłaby jeszcze gorsza.

Polacy kilka dni temu, w meczu z Ukraincami (0:2), zagrali, jakby już czekali na wakacje. W środowy wieczór rywalem w Warszawie były „Super Orły”, czyli trzecia drużyna ostatniego Pucharu Narodów Afryki.

W pierwszych dwudziestu minutach gra zespołu Jana Urbana w była dość obiecująca. W 21. minucie meczu, Robert Lewandowski, zagrał piętą do Karola Świderskiego, któremu odskoczyła piłka i gdy próbował do niej dopaść, został ewidentnie nadepnięty przez rywala. Rumuński sędzia Alexandru Barbu nie podyktował jednak rzutu karnego. Dwie minuty później Nigeria przeprowadziła atak i piłkę do bramki Kamila Grabary skierował Terem Moffi. Sędzia przez chwilę zastanawiał się, czy uznać gola, ze względu na potencjalnego spalonego, ale po analizie VAR zaliczył bramkę. Gdy wydawało się, że Biało-Czerwoni będą schodzić na przerwę, przegrywając, wyrównał młodziutki obrońca Mainz Kacper Potulski.

Kwadrans przed końcem meczu wydawało się, że Polacy są bliżsi zdobycia drugiej bramki. Ale jedna z nielicznych akcji rywali zakończyła się



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Obrońca Widzewa Przemysław Wiśniewski strzałem rozpaczy z dystansu uratował Polskę przed porażką

przypadkowym kontaktem piłki z przedramieniem Kacpra Kozłowskiego i rzutem karnym, podyktowanym po analizie VAR. „Jedenastkę” wykorzystał w 77. minucie Paul Onuachu. Gdy zanosilo się na trzecią z rzędu porażkę Biało-Czerwonych, w doliczonym czasie gry Przemysław Wiśniewski zdecydował się na strzał rozpaczy z kilkudziesięciu metrów i piłka wpadła do siatki.

Gra reprezentacji z Nigerią przez większość kibiców i dziennikarzy została oceniona bardzo źle. Ale selekcjoner Urban miał inne zdanie. Wyznał po spotkaniu, że uważa ten mecz za całkiem dobry w wykonaniu jego kadry.

- Ten problem mamy od dłuższego czasu i najgorsze jest to, że nie jest tak, że przeciwnik stwarza nie wiadomo, ile sytuacji i wykorzystuje dwie czy trzy. Rywale nie stwarzają dużo okazji, ale zwłaszcza dziś byli dla nas bardzo, bardzo okrutni. Ale to są mecze sparingowe, nie za nie będą nas oceniać. Uważam, że dziś było naprawdę dobre spotkanie na PGE Narodowym - powiedział selekcjoner.

Stoper FC Porto Jan Bednarek zaskoczył wszystkich, wyznając, że też uważa mecz z Nigerią za udany. Zaskoczył odpytujących, że reprezentacja musi wciąż się uczyć i że analizując mecz z Ukrainą, piłkarze wycią-

gnęli wnioski na mecz z Nigeryjczykami.

- W porównaniu do meczu z Ukrainą to spotkanie było naprawdę dobre i na tym musimy bazować, musimy się rozwijać i ciągle uczyć. Jeśli krytyka jest konstruktywna, to trzeba z niej wyciągać wnioski, nie obrażać się i słuchać głosu innych ludzi. My mieliśmy taką szczerą analizę razem z trenerem i wydaje mi się, że wyciągnęliśmy te wnioski. Małe detale są bardzo ważne - oznajmił.

Zdanie Bednarka o nauce nie jest zbyt optymistyczne, biorąc pod uwagę, gdzie na co dzień grają liderzy polskiej kadry i jaki sezon rozegrali, w tym on sam w barwach Porto.

Reprezentacja Polski rozjeżdżie się na wakacje, bo nie zagra na mundialu 2026. Kolejne mecze drużyny narodowej odbędą się jesienią. Rywalami Biało-Czerwonych w drugiej dywizji Ligi Narodów, będą: Szwecja, Rumunia oraz Bośnia i Hercegowina.

POLSKA - NIGERIA 2:2 (1:1)

● **Bramki:** dla Polski - Kacper Potulski (45+1), Przemysław Wiśniewski (90+5), dla Nigerii - Terem Moffi (23), Paul Onuachu (77-karny).

● **Żółte kartki:** Polska - Bartosz Slisz, Robert Lewandowski; Nigeria - Abdullahi Bewene, Raphael Onyedika. **Sędzia:** Marian Barbu (Rumunia). **Widzów:** 54 408.

● **Polska:** Kamil Grabara - Przemysław Wiśniewski, Jan Bednarek, Kacper Potulski (82. Jakub Kiwior) - Sebastian Szymański (62. Kacper Kozłowski), Jakub Kamiński, Bartosz Slisz, Piotr Zieliński (90. Karol Czubak), Nicola Zalewski (90. Oskar Pietruszewski) - Robert Lewandowski, Karol Świderski (62. Norbert Wojtuszek).

● **Nigeria:** Maduka Okoye - Abdullahi Bewene, Igoh Ogbu (46. Calvin Bassey), Emmanuel Fernandez (46. Semi Ajayi), Bruno Onyemaechi (46. Zaidu Sanusi) - Wilfred Ndidi, Frank Onyeka (46. Raphael Onyedika), Tochukwu Nnadi (46. Ralfi Durosini), Moses Simon (63. Fisayo Dele-Bashiru) - Akor Adams (46. Philip Otele), Terem Moffi (46. Paul Onuachu).

© ©

Polskie siatkarki z dwoma zwycięstwami na starcie Ligi Narodów w Chinach

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

SIATKÓWKA. Polskie siatkarki pokonały Czeszki 3:0 (25:22, 25:22, 25:20) w swoim drugim meczu turnieju Ligi Narodów w chińskim Nankinie. Dzień wcześniej wygrały z Belgijkami 3:2.

Czeszki w środę niespodziewanie pokonały gospodynie turnieju bez straty seta, co z pewnością mocno je podbudowało przed spotkaniem z Polkami. Początek jednak należał do Biało-Czerwonych, które rozpoczęły w identycznym składzie jak dzień wcześniej przeciwko Belgijkom.

Od pierwszych akcji skutecznością w ataku imponowała Martyna Łukasik, a po serii mocnych zagrywek Julii Szczurowskiej podopieczne Stefano Lavariniego prowadziły 8:4. Potem oba zespoły miały lepsze i gorsze momenty, Czeszki kilka razy pomyliły się w polu serwisowym, co nie pomogło im zniwelować strat.

W drugiej partii, po wyrównanym początku, Polki szybko przejęły inicjatywę. Odblokowała się Szczurowska, która dzień wcześniej poprowadziła reprezentację do zwycięstwa nad Belgijkami, punkty dokładały też środkowe.

Najbardziej wyrównany charakter miała trzecia partia. Coraz lepiej wyglądała współpraca Katarzyny Wenerskiej z Anną Obiałą, nadal skuteczne były Monika Lampkowska i Łukasik, jednak rywalki też poprawiły swoją grę. W ostatnich akcjach nie zawiodły Łukasik, najsukceszniejsza zawodniczka spotkania (15 punktów) oraz Lampkowska, która udaną kiwką zdobyła swój 13 punkt.

- Miłe, że z dnia na dzień gramy lepiej i poprawiamy różne elementy. Było lepiej niż dzień wcześniej - mówiła najlepsza na parkiecie Łukasik.

Kolejnymi rywalkami będą Serbki - dzisiaj (godz. 13.30) i Chinki w niedzielę (godz. 13.00).

© ©



FOT. FIVB

Atakująca Martyna Łukasik była najlepszą siatkarką na parkiecie w meczu Polska-Czechy w Nankinie

Podwójne żużlowe Grand Prix w Manchesterze. Powtórka z rozrywki?

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

ŻUŻEL. Dziś na torze w Manchesterze odbędzie się trzecia, a jutro już czwarta runda walki o indywidualne mistrzostwo świata na żużlu - Grand Prix Wielkiej Brytanii.

Po dwóch rundach żużlowego cyklu Grand Prix 2026 na czele klasyfikacji generalnej jest Bartosz Zmarzlik, który walczy o historyczny, siódmy tytuł indywidualnego mistrza świata.

W Landsht oraz Pradze sześciokrotny mistrz świata stawał na najniższym stopniu podium i z 32 punktami na koncie o jedno „oczko” wyprzedza rewelacyjnego debiutanta w cyklu Kacpra Worynę.

Za plecami Polaków jest Australijczyk Brady Kurtz, którego pasjonująca walka z Bartoszem Zmarzlikiem była ozdobą ubiegłego sezonu.

W ten weekend najlepsi żużlowcy świata wystartują na torze, który umożliwia wiele miżanek, co jest gwarantem świetnej rywalizacji.

Jeszcze przed rozpoczęciem rywalizacji organizatorzy musieli ogłosić kolejne zmiany na liście startowej. Oficjalnie potwierdzono, że z podwójnej rundy SGP Wielkiej Brytanii wycofał się Fredrik Lindgren, który nabawił się kontuzji w polskiej lidze, w meczu w Lesznie.

Miejsce szwedzkiego żużlowca zajmie Kai Huckenbeck. Niemiec był trzecim rezerwowym całego cyklu, ale wcześniej swoich szans doczekali się już Duńczyk Anders Thomsen oraz Czech Jan Kvech. Obaj zastępują kontuzjowanych Bry-

tjczyka Dana Bewleya (złamał kość udową i doznał zgniecenia kręgu lędźwiowego w lidze duńskiej) i Dominika Kubere (złamał obojczyk w lidze szwedzkiej i obecnie przechodzi rehabilitację po operacji).

Poprzednie Grand Prix Wielkiej Brytanii na torze Bellu Vue w Manchesterze były fenomenalnymi widowiskami, w których zwycięstwa odnieśli - obecnie kontuzjowany reprezentant gospodarzy Dan Bewley, a dzień później Bartosz Zmarzlik. Ubiegłoroczny podwójny weekend był uznawany

za jeden z najbardziej widowiskowych momentów sezonu.

Obie tegoroczne rundy w Manchesterze będzie można obejrzeć w Eurosporcie 3, Playerze oraz w HBO Max. Transmisje rozpoczną się o godz. 19.30 (dziś o godz. 15.00 zostaną rozegrane też kwalifikacje).

Zmagania skomentuje niezawodny duet Michał Korościel - Marcin Kuźbicki. Reporterką będzie Marcelina Rutkowska-Konikiewicz, z kolei w studiu gośćmi Sebastiana Szczęsnego będą Piotr Protasiewicz oraz Rafał Lewicki.

KLASYFIKACJA CYKLU SGP:

1. Bartosz Zmarzlik - 32 pkt, 2. Kacper Woryna (obaj Polska) - 31, 3. Brady Kurtz (Australia) - 26, 4. Leon Madsen (Dania) - 21, 5. Jack Holder (Australia) - 21, 6. Robert Lambert (Wielka Brytania) - 20, 7. Jason Doyle (Australia) - 19, 8. Daniel Bewley (Wielka Brytania) - 18, 9. Dominik Kubera (Polska) - 17, 10. Michael Jepsen Jensen (Dania) - 16, 11. Patryk Dudek (Polska) - 15, 12. Andrzej Lebie-diew (Łotwa) - 14, 13. Fredrik Lindgren (Szwecja) - 12, 14. Max Fricke (Australia) - 10, 15. Nazar Parnicki (Ukraina) - 8, 16. Anders Thomsen (Dania) - 4, 17. Norick Bloedorn (Niemcy) - 4, 18. Jan Kvech (Czechy) - 3, 19. Adam Bednar (Czechy) - 1, 20. Kevin Woelbert (Niemcy) - 0. © ©

PIŁKA NOŻNA ZIELONOGÓRSCY PIŁKARZE W SEZONIE 2026/2027 STANĄ DO RYWALIZACJI W DRUGIEJ LIDZE

Prezes Lechii Zielona Góra: - W piłce pieniądze to nie wszystko, liczy się chemia

Maciej Noskowicz
mnoskowicz@gazetalubuska.pl

Piłkarze Lechii Zielona Góra wracają na szczybel centralny po kilkunastu latach przerwy. Droga do drugiej ligi nie była jednak usłana różami - zespół trenera Sebastiana Mordala musiał zmierzyć się z plagą kontuzji kluczowych graczy, presją faworyta oraz rywalami, którzy przeciwko Zielonogórczom wznosili się na wyżyny swoich możliwości.

Prezes klubu, Maciej Murawski, opowiada „Gazecie Lubuskiej” o taktycznych rozsadach, sportowym zaufaniu do młodego trenera, planach na utrzymanie kadry bez finansowego szaleństwa oraz o tym, dlaczego... przestał oglądać mecze swojej drużyny na żywo.

W meczu z Górnikiem w Polkowicach postawiliście kropkę nad „i”. Po kilkunastu latach przerwy Lechia awansowała na szczybel centralny. Czy przed tym ostatnim wyjazdem towarzyszył panu duży stres? Wiadomo było, o co toczy się gra, choć margines błędu był spory - mogliście nawet przegrać kilkoma bramkami.

Muszę uczciwie przyznać, że przed meczem w Polkowicach ten stres był zupełnie inny. Dużo bardziej denerwowałem się przed spotkaniem z Karkonoszami Jelenia Góra, czy tydzień wcześniej ze Starowicami Dolnymi, kiedy sytuacja w tabeli była znacznie bardziej skomplikowana. Po meczu w Zabrzu, gdzie Górnik Polkowice przegrał z rezerwami Górnika, wiedziałem, że jeśli wygramy z Karkonoszami, to awans będzie na wyciągnięcie ręki. Nasz zespół tracił najmniej bramek w Polsce na tym poziomie rozgrywkowym - straciliśmy zaledwie 17 goli w całym sezonie, co daje średnio pół bramki na mecz. Biorąc pod uwagę tę jakość w defensywie, nie zakładałem scenariusza, w którym nagle tra-



Po ostatnim meczu sezonu z Górnikiem w Polkowicach, zespół Lechii Zielona Góra awans do drugiej ligi świętował razem ze swoimi kibicami

cimy w Polkowicach tak dużo goli, by zaprzepaścić awans. Musiałaby wydarzyć się jakaś katastrofa: czerwona kartka dla bramkarza, plaga kontuzji, albo coś zupełnie nieprawdopodobnego. Z każdą minutą widziałem, że chłopcy są świetnie nakręceni i chcą ten mecz po prostu wygrać. To było widać na boisku.

Chodziły jednak słuchy, że w pewnym momencie przestał pan oglądać mecze Lechii na żywo. Z czego to wynikało?

(śmiech) Ostatnim meczem, który oglądałem w pełnym

wymiarze, było spotkanie ze Skrą Częstochowa. Wyłączyłem transmisję po drugim straconym голу. Byłem niesamowicie zły, że nasza gra nie idzie w tym kierunku, który zakładaliśmy. Później nadziedziliśmy okres, kiedy byłem w Bielefeldzie i z racji odległości nie mogłem być na stadionie. Jestem trochę zabobonny. Pomyślałem sobie, że skoro rzadko oglądam transmisję w telewizji - bo zdecydowanie wolę przeżywać mecze na żywo z trybun - a gdy już włączyłem ekran na mecz ze Skrą, to przegraliśmy, to może przynoszę pe-

cha? Postanowiłem więc nie oglądać spotkań na żywo w telefonie czy telewizorze, a analizować je dopiero z odtworzenia.

Runda wiosenna, mówiąc delikatnie, nie była łatwa. Zdarzały się remisy, słabsze występy, a dziennikarze pytali, dlaczego drużyna nie punktuje tak, jak byśmy tego oczekiwali. Jak z dzisiejszej perspektywy ocenia pan te trudniejsze momenty?

Złożyło się na to kilka bardzo istotnych rzeczy. Przede wszystkim mieliśmy ogromne problemy zdrowotne. W okresie przygotowawczym straciliśmy Kamila Olka, który musiał przejść operację. To nasz najlepszy strzelec, autor 15 goli w poprzednim sezonie - dla każdej drużyny brak takiego zawodnika to potężny cios. Kuba Lizakowski również przeszedł zabieg i wypadł na ponad pół rundy, a to kluczowy piłkarz pod względem

charakterologicznym. Najgorsze było jednak złamanie obojczyka przez Łukasza Tumalę. Łukasz miał świetną jesień i choć był młodzieżowcem, na boisku w ogóle tak nie wyglądał - grał rewelacyjnie na lewej obronie. Kontuzje zmusiły sztab do szukania nowych rozwiązań i ustawień, co siłą rzeczy wpływało na płynność gry. Drugą kwestią była presja. Byliśmy faworytem, zespołem, na który wszyscy patrzyli inaczej. Głośno o tym nie mówiliśmy, bo od samego gadania się nie awansuje, ale cel był jasny. Presja potrafi spętać nogi. Doskonałym przykładem jest Sparta Katowice - na Śląsku wszyscy byli pewni ich awansu, a prezes Śląskiego Związku Piłki Nożnej mówił o tym oficjalnie. Wygrali z Polkowicami 4:0 i od momentu, gdy uwierzyli, że są krok od celu, przegrali cztery kolejne mecze. Ta liga była niesamowicie wyrównana.

Czy do tej presji przyczyniły się też mecze przy jupiterach na waszym stadionie?

Paradoksalnie tak. Zaczęliśmy grać mecze wieczorne przy światłach, na które przychodziło bardzo wielu kibiców. Na żadnym innym stadionie w naszej grupie trzeciej ligi nie było takiej frekwencji. Dla drużyn przyjezdnych gra na pełnym stadionie, przy sztucznym oświetleniu i w świetnej atmosferze była wielkim świętem. Oni nie czuli negatywnej presji - przyjeżdżali bez obciążeń, mogli tylko zyskać i pokazać się z jak najlepszej strony. My natomiast musieliśmy uczyć się funkcjonować w roli faworyta, na którego rywal czeka głęboko cofnięty, nastawiony na kontrataki. Kreowanie gry na początku wiosny, kiedy murawy nie były jeszcze idealne, jest zawsze trudniejsze niż obrona. Na szczęście sztab trenerski mądrze szukał rozwiązań, zmieniał chociażby

JEŚLI NASZ BUDŻET NIE WZROŚNIE O CO NAJMNIEJ MILION, PÓŁTORA MILIONA ZŁOTYCH, TO NA KONIEC SEZONU BĘDZIEMY MIELI OGROMNE PROBLEMY FINANSOWE

godziny treningów na wieczorne, by oswoić zespół z tymi warunkami.

Awans stał się faktem, ale przed wami ogromny przeskok - organizacyjny, mentalny i przede wszystkim finansowy. Druga liga to już szczybel centralny. Jak to wygląda z pana perspektywy?

Mogę podać przykład Zagłębia Sosnowiec - klubu o wielkiej marce, z pięknym stadionem spełniającym wymogi Ekstraklasy i potężnym dofinansowaniem miejskim na poziomie pięciu milionów złotych plus kolejne dwa miliony na utrzymanie obiektu. Mieli walczyć o powrót na zaplecze Ekstraklasy, a skończyło się spadkiem do drugiej ligi. Podobnie GKS Tychy, który dysponował wysokim budżetem, a także spadł. To pokazuje, jak trudny i nieprzewidywalny jest to poziom.

W drugiej lidze spotkamy kluby o skrajnie różnych budżetach. Gdy Wieczysta Kraków robiła awans, ich możliwości finansowe były kosmiczne. Nasz problem polega jednak na specyfice infrastruktury. Zagłębie Sosnowiec przy dobrej grze potrafiło przyciągnąć na trybuny 10 tysięcy kibiców, co generowało potężny zysk z dnia meczowego. My, choćbyśmy grali najwspanialszą piłkę na świecie i chętnych było pięć tysięcy osób, możemy sprzedać maksymalnie... 700 biletów. Taka jest pojemność naszego obiektu. Przez lata próbowaliśmy pudrować ten nasz „dołek” za pomocą budżetu obywatelskiego, ale na dłuższą metę to ślepy zaułek w 150-tysięcznym mieście.

Do tej pory budżet klubu oscylował w granicach 3,8 miliona złotych rocznie. Ile potrzebujecie, aby spokojnie utrzymać się w drugiej lidze, bez drżenia o ligowy byt?

Musimy to chłodno skalkulować. Po pierwsze, większość

zawodników, którzy wywalczyli awans miała w kontraktach klauzule automatycznego przedłużenia umowy na drugą ligę. Aby ściągnąć tu wartościowych piłkarzy, musieliśmy zaoferować im dwuletnie warunki z opcją wyższych zarobków w przypadku awansu. Gdybyśmy nie awansowali, umowy przestałyby obowiązywać. Wiemy więc, że koszty płacowe od razu pójdą w górę. Po drugie, logistyka. Czekają nas dalekie i kosztowne wyjazdy: Kraków, Warszawa, Stalowa Wola, Rzeszów. Nie da się już pojechać na mecz w dniu spotkania, dojadą koszty hoteli i regeneracji. Jeśli nasz budżet nie wzrośnie o co najmniej milion, półtora miliona złotych, to na koniec sezonu będziemy mieli ogromne problemy finansowe. Warto pamiętać, że w ubiegłym roku wygraliśmy klasyfikację Pro Junior System, co dało nam 400 tysięcy złotych premii. W tym sezonie zajęliśmy czwarte miejsce, więc z tego tytułu otrzymamy o 300 tysięcy mniej. Na starcie jesteśmy więc pod kreską, a koszty budowy kadry zdolnej do awansu i tak były wyższe niż w ubiegłych latach.

Czy w mieście i u sponsorów jest „zielone światło” na zwiększenie finansowania po wywalczeniu awansu?

Jeśli chodzi o sponsorów prywatnych, to zdecydowana większość zadeklarowała podwyższenie kwot wsparcia, za co jestem im ogromnie wdzięczny. Z miastem sytuacja jest bardziej skomplikowana. Deklaracje były obiecujące - pod koniec ubiegłego roku rozmawialiśmy z ludźmi mającymi wpływ na miejską politykę i zapewniano nas, że otrzymamy dotację rzędu 1,3 miliona złotych. Ostatecznie dostaliśmy milion, a środki na szkolenie dzieci i młodzieży były nawet niższe niż rok temu. Liczę na to, że miasto, które przecież oczekiwało



Prezes Lechii Maciej Murawski (w środku) wytycza cele na drugoligowe rozgrywki

od nas tego awansu, ogłosił niebawem nowe konkursy ofert i realnie wesprze klub w drugiej lidze.

Czy po awansie planujecie rewolucję w kadrze, czy raczej postawicie na stabilizację?

Mamy w drużynie piłkarzy, którzy swoimi umiejętnościami i jakością zdecydowanie przewyższali poziom trzeciej ligi. Nie znaleźliśmy się na szczyblu centralnym przez przypadek. Rozmawiamy z trenerem Sebastianem Mordalem, obaj nie chcemy wielkich zmian. Zespół tworzył się przez dwa lata odkąd Sebastian u nas pracuje. Głęboko wierzę, że w piłce nożnej pieniądze to nie wszystko. Liczy się systematyczność, wizja sztabu szkoleniowego i odpowiednia chemia w szatni. Nie chciałbym stracić kluczowych ogniw, choć wiem, że nasi zawodnicy mają już oferty z innych klubów. Podobno w drugiej lidze niektóre kluby płacą

zawodnikom po 40 tysięcy złotych miesięcznie. My nigdy nie konkurowaliśmy i nie będziemy konkurować z nikim wyłącznie portfelem.

Śpi pan spokojnie w kontekście okienka transferowego?

Wychodzę z założenia, że na rynku jest zawsze więcej fajnych zawodników niż fajnych klubów. A Lechia jest fajnym klubem, w pięknym mieście. Zielona Góra to świetne miejsce do życia - sam się tu urodziłem, mieszkalem w wielu miastach w Europie i wiem, że to ogromny atut w rozmowach z piłkarzami. Nasza infrastruktura treningowa również stoi na wysokim poziomie. W zimie nie mieliśmy żadnych problemów z treningami, podczas gdy inne kluby szukały boisk. W trakcie sezonu przyjeżdżają do nas trenować pod „balonem” ekipy z Ekstraklasy czy pierwszej ligi, jak Zagłębie Lubin czy Chrobry

Głogów, bo u siebie nie miały takich warunków. Naszym jedynym problemem pozostaje stadion.

Był pan architektem sprowadzenia trenera Sebastiana Mordala do Zielonej Góry. Dzisiaj może pan z dumą powiedzieć: „trafiłem w dzieśiątkę”?

Sebastian to bardzo dobry trener. Oczywiście potrzebował pierwszego roku, aby poznać specyfikę tej ligi i seniorskiej piłki, ponieważ wcześniej odnosił sukcesy głównie w pracy z młodzieżą, zdobywając mistrzostwo Polski ze Śląskiem Wrocław w kategoriach U-15 i U-17. Gdy przychodził, pojawiały się głosy powątpiewania. Gdyby miał wcześniejsze doświadczenie w trzeciej lidze, pewnie awansowalibyśmy jeszcze szybciej, ale ten pierwszy rok poświęciliśmy na naukę i mądre budowanie projektu. Dobieraliśmy zawodników nie tylko pod ką-

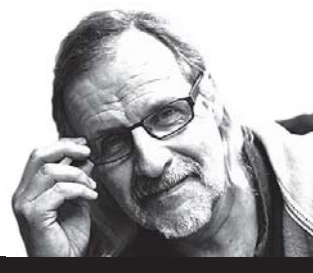
tem czysto piłkarskim, ale też charakterologicznym i finansowym. Sebastian ma świetne podejście do ludzi. Przy transferach zawsze wykonywał ten pierwszy, kluczowy krok - spotykał się z zawodnikiem i przedstawiał mu spersonalizowany plan na jego rozwój w naszym zespole. To była nasza ogromna wartość dodana.

Na koniec temat rzeka - stadion. W drugiej lidze zagracie na wysłużonym „dołku”. Co musi się stać, aby Zielona Góra doczekała się obiektu z prawdziwego zdarzenia? Czy ten awans zapoczątkuje jakieś zmiany?

Jeśli będziemy grać dobrze, to mam taką nadzieję. W Zielonej Górze są tysiące ludzi, którzy kochają futbol. Przez wiele lat piłka nożna była w tym mieście rażąco zaniedbywana. Powstała piękna hala dla koszykarzy, z czego bardzo się cieszę i gratuluję Zastalowi wspianiałej historii, ale bez tego obiektu nie byłoby wielkiej koszykówki w Zielonej Górze. Gdyby Zastal musiał grać w starej hali przy ulicy Szafrana, prawdopodobnie grałby dziś w pierwszej lub drugiej lidze, bez względu na to, ilu miałby kibiców. My, jako piłkarska Lechia, jesteśmy właśnie takim „Zastalem ze starej hali”, który od lat gra w przestarzałym „dołku” i nikt przez dekady nic z tym nie zrobił. To najsmutniejsze, bo w całej Polsce stadiony pięknieją, a my wciąż tylko pudrujemy prowizorkę. 99 procent stadionów w kraju budują miasta i bez odważnej decyzji samorządu nic się nie zmieni. Mam jednak w tej chwili tyle spraw związanych z przygotowaniem klubu do gry w drugiej lidze, że projektowanie stadionów muszę zostawić innym. Dziś cieszymy się tym historycznym sukcesem, bo Lechia Zielona Góra wraca na piłkarską mapę centralnej Polski. ©©

MOIM ZDANIEM

Andrzej Flügel



Koszykarze Orlen Zastalu są na ustach kibiców koszykówki w całej Polsce. Dokonali rzeczy, która wydawała się niemożliwa. Startując z ósmego miejsca po zasadniczej rundzie najpierw wygrali z Anwil, dzięki czemu znaleźli się w play off, potem pokonali Kinga Szczecin. Teraz odprowadzą Arkę Gdynia, wygrywając

z nią trzy spotkania, w tym dwa na wyjeździe.

Teraz przed nimi finał z Legią Warszawa. To jest właśnie piękno sportu, kiedy zespół, na który nikt nie stawia dokonuje rzeczy wielkich. Wspinali się zielonogórcy kibice, którzy wypełnili halę niemal do ostatniego miejsca. Jak podano, w meczu z Arką było 4.999 widzów. Hala ma pojem-

TO JEST WŁAŚNIE PIĘKNO SPORTU!

ność pięć tysięcy, więc zastanawiam się, czemu ten jeden kibic nie przyszedł? Przed nami finał. Legia jest faworytem, ale Zastal nie ma zamiaru zwalniać. Wiem, że powalczy i da z siebie wszystko. Czekają nas wielkie emocje, kończące ten wspaniały sezon!

Lechia, wygrywając w ostatnim meczu z Polkowicami, postawiła pieczęć na swoim awansie do piłkarskiej drugiej ligi. Teraz zaczyna się prawdziwe problemy. O stronę sportową jestem raczej spokojny, bo ta ekipa - o ile nagle nie odejdzie kilku zawodników - tworzy fajny team i powinna dać sobie radę. Martwi

mnie wszystko pozostałe. Lechia nadal będzie grała na „dołku”, dostała licencję, ale pod nadzorem i warunkami do spełnienia. Jeden z nich to 900 krzesełek, a dziś jest ich zaledwie ponad 700.

Klub wygrał budżet obywatelski na budowę trybuny, lecz na razie realizacja strasznie się ślimaczy. Czy do inauguracji uda się jakoś załatwić te brakujące siedziska? Mam nadzieję, że tak. Jest jeszcze bardzo kosztowny monitoring i kilka drobniejszych spraw. Liczę, że władze miasta, które rzeczywiście przychylnie - w odróżnieniu od poprzedników - patrzą na futbol pomogą klubowi,

bo przecież gra w lidze centralnej, na którą tak długo czekaliśmy. Inna sprawa, że teraz, po awansie okazuje się, iż niemal wszyscy są fanami futbolu i Lechii, a jeszcze niedawno przejmowała się nim garstka ludzi. Sukces ma wielu ojców...

Nie ukrywam, że zaskoczyło mnie zwolnienie dyrektora zielonogórskiego MOSiR, bo skoro nie nastąpiło natychmiast po zmianie władzy, to uznano go za fachowca i było dowodem, że nowi szefowie kierują się tylko oceną jego umiejętności. Coś się jednak zmieniło... Jeszcze bardziej zaskoczyła mi forma rozstrzygnięcia, bo jeśli jest prawdą, że dy-

rektor po tylu latach pracy musiał się natychmiast spakować, wygląda to kiepsko...

Przed nami ostatnia kolejka czwartej ligi. Odra Bytom Odrzański, co w sumie było do przewidzenia od dawna, jest znów trzeciogowcem udowadniając, że ze spadku przed rokiem wyciągnęła wnioski i wraca silniejsza. Gorzowski Stilon, jak przypuszczam, obroni przewagę nad Polonią Ślubice i już musi myśleć o meczu z wicemistrzem czwartej ligi dolnośląskiej, którym najprawdopodobniej zostanie Lechia Dzierżonów. ©©

SPORT

www.sportowy24.pl

LEKKA ATLETYKA

Marika Majewska zajęła 2. miejsce w biegu na 100 metrów przez płotki podczas memoriału Jozefa Odložila w Pradze. Zawodniczka AZS AWF Gorzów uległa jedynie innej Polce Klaudii Wojtunik po fotofiniszu. Okazało się, że różnica między nimi wyniosła zaledwie jedną tysięczną sekundy. Majewska będzie jedną z gwiazd sobotniego Gorzów Meeting na stadionie im. Lubuskich Olimpijczyków (początek o godz. 15.00).



FOT. BOGUSŁAW SACHARCZUK

TE NIS STOŁOWY

Indywidualne mistrzostwa województwa lubuskiego skrzatów odbędą się w najbliższą niedzielę w miejskiej hali przy ul. Jagiełły 11 w Gorzowie. Początek gier o godz. 10.00. To jedna z ostatnich imprez sezonu 2025-2026.

FORMUŁA 4 PIOTR ORZECZOWSKI RYWALIZOWAŁ NA TORZE SNETTERTON

Lubuskiemu kierowcy brakło trochę szczęścia

Cezary Konarski
ckonarski@gazetalubuska.pl

Piotr Orzechowski, lubuski mistrz kierownicy, podobnie jak w poprzednim sezonie, ściga się w Brytyjskiej Formule 4. Zawodnik z Kostrzyna nad Odrą rywalizował ostatnio na torze Snetterton 300.

Polski kierowca teamu Chris Dittmann Racing nie wziął udziału w zmaganiach na torze Brands Hatch Indy ze względu na egzaminy maturalne. Ale Piotr Orzechowski ważny etap edukacji już zakończył i obecnie w pełni skupia się na ściganiu za kierownicą Tatuusa T-421.

Ostatnio 18-letni kierowca ścigał się na torze Snetterton, w sesjach treningowych długo plasował się w Top 14, ale poważna awaria zawieszenia doprowadziła do przedwczesnego zakończenia jazdy. Walkę o środek stawki miały więc umożliwić kwalifikacje. Pierwsze przejazdy dawały nadzieje na czołową piątnastkę. Niestety, kolejny wyjazd i wadliwy komplet opon sprawiły się, że zmieniła się charakterystyka samochodu. Polak miał do czynienia z dużą nadsterownością i zakończył sesję na 29. miejscu. W pierwszym wyścigu problem nie zniknął, ale mimo to udało się awansować na 22. pozycję. To przełożyło się na Top 8 w klasyfikacji Rookie.

Drugie zawody z tzw. reverse grid otwierały szansę Piotrowi Orzechowskiemu na punkty. Za każdą zyskaną pozycję doliczane są pojedyncze „oczka”. Już po starcie nasz zawodnik zyskał cztery pozycje i był na dobrej drodze, aby zyskiwać kolejne. Niestety, pod koniec pierwszego okrążenia został uderzony



FOT. @USUALY4PHOTOS

Piotr Orzechowski za kierownicą Tatuusa T-421 zdobywa doświadczenie w Formule 4

przez rywala. Była to walka kilku bolidów obok siebie, incydent ten wyeliminował naszego rodaka z dalszej rywalizacji. Taki bywa motorsport.

Przed trzecim wyścigiem zespół Chris Dittmann Racing robił wszystko, co mógł, aby naprawić samochód kierowcy z Kostrzyna nad Odrą. Konieczna była wymiana tylnego zawieszenia. Na szczęście mechanicy zdążyli i możliwy był kolejny start. Lubuszanin poradził sobie dobrze, finalnie zyskał kilka lokat i ukończył wyścig na 23. miejscu i 9. w klasyfikacji Rookie. To pomogło mu utrzymać się w czołowej dziesiątce klasyfikacji debutantów.

Tak Piotr Orzechowski podsumował swój występ na torze Snetterton:

- Nie poszło tak, jakbyśmy razem z zespołem sobie tego życzyli. Mielśmy pewne problemy i weekend wyścigowy skomplikował się przez gorsze kwalifikacje. Ostatecznie, po analizach okazało się, że nie trafiliśmy z kompletem opon i stąd nadmierna nadsterowność i brak oczekiwanego tempa. Mimo wszystko bardzo liczyłem na kolejne punkty i wykorzystanie szans w drugim wyścigu. Zyskiwałem pozycję, starty były mocną stroną, ale niestety w zaciętej walce dostałem uderzenie z tyłu. Nic nie mogłem zrobić. Jestem dumny z moich mechaników, którzy zdołali naprawić bolid i umożliwili mi start w trzecim wyścigu. Zrobiłem, co mogłem, ale ponownie nie

mielśmy tempa, aby awansować. Moim celem jest walka o punkty w każdym wyścigu i mam nadzieję, że wkrótce mój progres będzie bardziej widoczny. Kolejna okazja na torze Truxton pod koniec lipca.

Polski kierowca nie wystartuje na torach Silverstone i Zandvoort. Jego powrót do ścigania planowany jest na 24-26 lipca. Wówczas na torze Truxton odbędzie się szósta runda Brytyjskiej Formuły 4. W trakcie przerwy Piotr Orzechowski będzie pracował w symulatorze oraz na testach na torze. Na jego profilach społecznościowych będą pojawiać się aktualne informacje o jego kolejnych startach.

© P

PIŁKA NOŻNA

● IV liga

Wyniki 33. kolejki spotkań: Victoria Szczaniec – Łucznik Strzelce Krajeńskie 2:3, Grupa Chmiel Polonia Słubice – Róża Różanki 6:1, Sprotavia Szprotawa – Odra Bytom Odrzański 1:8, Lechia II Zielona Góra – Dozamet Nowa Sól 6:0, ZAP Syrena Zbąszynek – Stilon Gorzów 1:2, Pogoń Skwierzyna – Pogoń Świebodzin 1:1, Ilanka Rzepin – Zorza Port 2000 Mostki 1:1, Odra Nietków – Piast Iłowa 4:0, Czarni Żagań – Stal Sulęcín 5:1.

1. Odra Bytom Odrz.	33	90	122:23
2. Stilon	33	86	92:27
3. Polonia	33	85	116:23
4. Zorza	33	69	86:58
5. Odra Nietków	33	56	61:49
6. Sprotavia	33	56	78:73
7. Ilanka	33	53	71:41
8. Lechia II	33	49	88:62
9. Syrena	33	48	62:57
10. Pogoń Skwierzyna	33	47	56:51
11. Piast	33	41	57:76
12. Victoria	33	31	45:86
13. Pogoń Świebodzin	33	28	54:86
14. Róża	33	26	33:91
15. Czarni	33	25	33:74
16. Łucznik	33	25	29:82
17. Dozamet	33	22	25:69
18. Stal	33	15	29:109

Przed ostatnią kolejką spotkań Odra Bytom Odrzański zagwarantowała sobie awans do III ligi, którą opuściła przed rokiem. O drugie miejsce, pramiowane grą w barażach rywalizują jeszcze Polonia Słubice i Stilon Gorzów.

34. kolejka (ostatnia): Sobota – godz. 16.00: Odra Bytom Odrzański - Lechia II Zielona Góra, godz. 18.00: Róża Różanki - Sprotavia Szprotawa, Stal Sulęcín - Victoria Szczaniec, Pogoń Świebodzin - Ilanka Rzepin, Dozamet Nowa Sól - ZAP Syrena Zbąszynek, Zorza Port 2000 Mostki - Odra Nietków, Stilon Gorzów - Pogoń Skwierzyna, Łucznik Strzelce Krajeńskie - Grupa Chmiel Polonia Słubice, Piast Iłowa - Czarni Żagań.

● Klasa okręgowa

- grupa zielonogórska 29. kolejka: Pogoń Wschowa - Budowlani Lubsko 2:1, Zorza Ochla - ŁKS Łęknica 4:1; sobota – godz. 13.00: Relax Grabice - TS Przylep Zielona Góra, godz. 17.00: Unia Kunice Żary - Pogoń Wężyska, Dąb Sława Przybyszów - Promień Żary; niedziela – godz. 16.00: Błękitni Ołobok - Bóbr IM-PE Bobrowice, godz. 17.00: Cargovia Kargowa - Tęcza Homanit Krosno Odrz., Korona Kożuchów - Dozamet II Nowa Sól 3:0 (walkower, zespół z Nowej Soli został wycofany z rozgrywek).

● Klasa okręgowa

- grupa gorzowska 29. kolejka: Spartak Deszczno - Czarni Browar Witnica 2:1; sobota – godz. 14.00: GKP Bogdaniec - Stilon II Gorzów, godz. 15.00: Piast Karnin - Warta II Gorzów, Orzeł Międzyrzecz - Uran Trzebiec, godz. 17.00: Lubuszanin Drezdenko - Sokół Gościm, godz. 18.00: TS Celuloza Kostrzyn nad Odrą - Pionier Zwierzyn; niedziela – godz. 13.00: Warta Słońsk - Radowiak Drezdenko, godz. 15.00: MKS Spójnia Ośno Lubuskie - Toroma Torzym.

● Centralna Liga Juniorów

U-17. Wyniki lubuskich drużyn w 30. (ostatniej) kolejce spotkań: Stilon Gorzów - Górnik Zabrze 2:5, Lechia Zielona Góra - Pogoń Szczecin 2:3. Stilon zajął 12. miejsce w tabeli, a Lechia 15. lokatę, co oznacza degradację Zielonogórzan z CLJ. **U-15.** Wyniki lubuskich drużyn w 26. (ostatniej) kolejce spotkań: Rekord Bielsko-Biała - Lechia Zielona Góra 2:4, TS Przylep Zielona Góra - Odra Opole 0:1. Lechia zakończyła sezon na 5. miejscu w tabeli, a zespół z Przylepu na 14. (ostatnim), dlatego opuści szereg CLJ. **(cekon)**